CENA 20 ZŁ

W numerze: Walka o niemiecką kulturę

Odra tygodnik

WROCŁAW

KATOWICE

NUMER 22 (131) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 30 MAJA 1948 ROKU ROK IV

BIBLIOTEKA GŁÓWNA MORSKIEGO INSTYTUTU RYBACKIEGO

JÓZEF LEDWOLORZ

Pochwała chwastów

List Papieża Piusa XII do biskupów niemieckich, którego pełny tekst ukazał się już w języku polskim (nakładem „Odry", Katowice 1948), nie przestaje zajmować katolickiej opinii polskiej. W liście Ojca Świętego znajdują się zdania, które budzą nie tylko protest uczucia ale zdają się przeczyć także oczywistym historycznym faktom. I w tym względzie list wymaga wyraźnej obszernej odpowiedzi. Poniższe uwagi mają na celu dostarczenie pewnych umotywowanych historycznych argumentów do odpowiedzi, której wypracowaniem winna się zająć przede wszystkim polska opi-

Również i wschodnioniemieccy katolicy brali udział w zbrodniach warszawskich. Na zdjęciu szczątki O. Kosibowicza Edwarda, wykopane na Polu Mokotowskim. O. Kosibowicz należał do najwybitniejszych publicystów katolickich

nia katolicka i polskie duchowieństwo.

Gdy na wrocławskiej stolicy biskupiej umierał Kardynał Kopp, w jednym z ówczesnych pism polskich ukazał się taki wierszowany nagrobek dla zmarłego kardynała, który, jak wiadomo, nie miał zbyt wielu względów dla Polaków, stanowiących przecież o sile biskupstwa wrocławskiego:

Kardynalską trumnę kryje głazów stek,
Nie był dla Polaków to życzliwy człek.
Jeżeli jest w niebie w ten obecny czas,
To pewnie przed Bogiem już oskarża nas!

Może ktoś powie, że nie godzi się rozpoczynać poważnych uwag na temat listu papieskiego od przypomnienia fraszki. My starsi jednak pamiętamy doskonale, że fraszka ta w niczym nie kłamie. Po kardynale Koppie we Wrocławiu rozpoczyna rządy nowy biskup, hildesheimski dotąd, Adolf Bertram. Bertram umarł po minionej wojnie za polskich już czasów Wrocławia. Tego to Bertrama wspomina Ojciec Święty w liście swoim z okazji przypomnienia manifestacji katolickiej we Wrocławiu w r. 1926. Zarówno wspomnienie manifestacji tej jak i wszelka inna wzmianka o katolikach wschodnio - niemieckich nasuwają Papieżowi takie wyrażenia jak „wypróbowany gorliwy katolicyzm wschodnio - niemiecki" czy „jego żywiołowe katolickie myślenie". My jednak, którzyśmy dziesiątki lat przeżyli właśnie na terytorium, na którym Kościół reprezentował ów gorliwy katolicyzm, mamy nieco odmienne zdanie od wyrażonego w omawianym liście.

Manifestacja roku 1926, o której tak rzewnie wspomina Ojciec Święty, odbywała się w momencie, w którym hakatystyczne duchowieństwo niemieckie na Ziemiach Zachodnich przy współpracy wszystkich katolików wschodnio - niemieckich, a nawet przy współpracy partii politycznych walczyło z katolikami polskimi. W tym bynajmniej nie zbożnym dziele katolicy ci wykazali rzeczywiście szczególną gorliwość. Dowodów dostarczą nam akta wrocławskie, po części także szczecińskie, bo i tam trwała walka z nabożeństwami polskimi.. Za nim ktoś sięgnie do archiwów, wystarczy nam skromna książeczka, którą pod nazwą „Memoriał dotyczący spraw kościelnych polskiej mniejszości narodowej w Niemczech" wydał w roku 1926 Związek Polaków w Niemczech (str. 157). Większość pism, przedrukowanych we wspomnianym wydawnictwie in extenso, znana jest dobrze obecnemu Ojcu Świętemu, wówczas nuncjuszowi apostolskiemu Pacelliemu, bo wiele z nich do Niego skierowywano.

Królestwo niebieskie — pisze św. Augustyn w „Civitas Dei" — powołuje swych obywateli ze wszystkich narodów, zbiera pielgrzymów ze wszystkich języków; nie pyta się, jakie różnice zachodzą w ich zwyczajach, prawach i urządzeniach... i posiada tę właściwość, że niczego z nich nie rozwiązuje, nie niszczy, lecz przeciwnie, stara się je zachować. Zasady tej, potwierdzonej później przez IV sobór laterański za papieża Innocentego III w r. 1215, nie uznawały niemieckie władze kościelne. Wspomniana książeczka ukazuje nam postacie wielu hakatystycznych księży, a szczególnie obustronną korespondencję między Związkiem Polaków w Niemczech a niemieckimi władzami kościelnymi, głównie biskupem Bertramem. Oto ks. Kuratus Kaiser z Moabitu, O. Guala z parafii berlińskiej św. Piotra i Pawła, ks. Schnurr z berlińskiej parafii św. Józefa („...wyraził się także, że Polacy cuchną — pomimo to odbierał od nich pieniądze" — list komitetu kościelnego parafii do J. E. Ks. Kardynała Bertrama z dnia 18. V. 1925), ks. Gollisch z Neukölln, ks. Wassmann z berlińskiego kościoła Marii Panny, ks. Thessen ze Złego Komorowa, w sprawie którego to księdza antypolskiej działalności trwała uparta korespondencja Związku Polaków, którego listy zarówno nuncjusz apostolski jak i biskup wrocławski zbywali paru zdaniami, wreszcie 19 października 1927 książęco-biskupi wikariat generalny odmówił Związkowi Polaków prawa interesowania się sprawami kościelnymi, a 19 czerwca 1926 apostolska nuncjatura w Niemczech listem podpisanym przez radcę

Oni, Niemcy, obrazy kultu religijnego, o ile sobie o nich przypominali, tworzyli w obozach jenieckich, dokąd zapędzano ich po zbrodniczej walce. Dowodem na to takiej dziś doznająca czci Madonna Stalingradzka. My Polacy mogliśmy jedynie w ukryciu przed batem i butem SS-mana ryć w drzewie takie oto wzruszające obrazy. I na tym polega różnica między nimi a nami. I o tym należy pamiętać także po liście Papieża. (Na zdjęciu drzeworyt wykonany przez więźnia obozu w Majdanku)

nuncjatury — Aloysa Centosa oświadczyła, że nie jest w stanie poczynić dalszych kroków, gdyż „chodzi tutaj o sprawę, w którą zgodnie z can. 269 § 1 nie może wkroczyć". Cały spór, zakończony zwycięstwem antykatolickiego księdza, trwał przeszło rok. I dalej ks. Klosa ze Starego Popielowa, który — jak donosi list Związku Polaków z dnia 21. I. 1924 biskupowi Bertramowi — oświadczył, że „wszyscy Polacy są łajdakami, a Barczyk (miejscowy przywódca Polaków) jest arcypaskarzem", ks. Steinhoff z Wysokiej, pow. Olesno, ks. Plock z Sandowic, pow. Strzelce, ks. Krug z Pszczewa, ks. Lerch z Zalesia wreszcie, który grozi miejscowym działaczom polskim denuncjacją (Z listu do p. Wilkowskiego, Memoriał, str. 116-7: „Miałbym w tych dniach powód i sposobność do podjęcia przeciw Panu odpowiednich kroków za podszczuwanie w tutejszej gminie. Pan widocznie nie ma pojęcia, jak blisko stoi przepaści. Jednak jest mi jeszcze żal Pana, rodziny i gospodarstwa Pańskiego. Z tej przyczyny proszę Pana w przyjaźni i ojcowskiej dobroci zachować się spokojnie. Każde słówko szkodzi Panu i pogarsza Jego stanowisko... Gdyby moja prośba nie miała odnieść skutku, byłbym do działania zmuszony, spodziewam się jednak, że Pan nie spowoduje mnie posunąć się do ostateczności"). A grozi, jak widzimy, tak słodko, że przypomina fredrowskiego Rejenta z „Zemsty" z jego „serdeńkiem".

Wymieniłem jedynie, opierając się na Memoriale, 10 owych apostołów zła. Mogę jednak zapewnić, że było ich znacznie więcej. I o wszystkich tych niegodnych sługach Kościoła informowaliśmy ówczesnego nuncjusza Pacelliego, a dzisiaj Ojca Świętego Piusa XII. Nie tylko biskup wrocławski, ale także administrator apostolski w Berlinie, którym długi czas był biskup Schreiber, poprzednio biskup w Budziszynie — choć miał obowiązek pomocy duszpasterzom polskim we wschodnich prowincjach Niemiec, występował przeciwko naszym prawom do języka w kościele. Leksykon Polactwa w Niemczech, którego kilka zaledwie arkuszy do litery G wydrukować zdążono przed wrześniem 1939, podaje na stronie 4, że „tragiczny wprost brak księży Polaków, mówiących dobrze po polsku i nie germanizujących jest spowodowany właśnie brakiem polskiej akademii duchownej". A biskup wrocławski, ani nuncjusz papieski, nie chcieli się zgodzić na powstanie takiej akademii w Opolu. Nie chcieli także słyszeć o powołaniu biskupa polskiego (Leksykon, strona 59), ale ówczesny przeciwnik tej koncepcji, a obecny Ojciec Święty w liście swym do biskupów niemieckich przyznaje, że mianując biskupa Maksymiliana Kallera (n. b. protestującego kilka razy publicznie przeciwko granicy na Odrze i Nysie) specjalnym biskupem „uchodźców niemieckich" miał na celu zaradzenie brakowi księży w okręgach diaspory. Ale — znów wracamy pamięcią wstecz — gdy mniejszość polska we wschodnich Niemczech skarżyła się w listach do Niego, że brak jest księży polskich, nie tylko że nie odpowiadał na posyłane Mu listy, ale nawet nie interesował się w ogóle takimi faktami, jak wysiedlanie księży polskich z terenów zamieszkałych przez zwartą ludność polską na tereny diaspory narodowej.

Te luźne uwagi nie mogą oczywiście wyczerpać tematu. Daleko mi także do archiwalnych źródeł, korzystam z tego tylko, co uratowałem z wojny, z paru cennych wydawnictw, pamiątek naszej walki w Rzeszy Niemieckiej. Gdy wybuchła wojna Niemców przeciw Polsce, polskie życie kościelne we wschodnich Niemczech było już właściwie rozbite, a niemieckie podporządkowane — wojnie. Pamiętam, że musieliśmy po kościołach modlitwą żegnać żołnierzy idących na rozbój. Wiemy z cennej pracy Bolesława Olszewicza „Straty kultury polskiej", że w okresie wojny Niemcy zamęczyli po obozach 135 wybitniejszych księży, nie wspominając wielu innych szarych sług Kościoła, a zamordowali lub rozstrzelali na terenach Polski 92. 23 wybitniejszych księży zmarło w więzieniach. Musimy stwierdzić stanowczo, że w zbrodniach tych brali udział także wschodnio-niemieccy katolicy. Z pamiętnika 49 pułku piechoty z Wrocławia, który po kampanii francuskiej otrzymał nazwę pułku „der blauen Löwen v. Maubeuge", dowiadujemy się, że pułk ten, bio-

rący udział w kampanii polskiej na linii Pszczyna — Zamość, rozstrzelał po drodze 13 polskich księży jako „dywersantów", kapelan pułkowy zaś, przesłuchując kilku z nich, stwierdził protokolarnie, że „są oni zatwardziali i nie chcą się przyznać do winy". Czytając to, kamieniałem od grozy. I znów przypomnieć trzeba, że 49 pułk składał się wyłącznie z katolików wschodnio-niemieckich, z Niemców śląskich, później zaś doszło doń trochę Austriaków. Gdyby dziś zebrać choćby tylko te drukowane wspomnienia poszczególnych pułków i dywizji śląskich, pomorskich, wschodniopruskich, pełne przechwałek i niejednokrotnie bardzo szczerych wynurzeń na temat dokonywanych zbrodni, moglibyśmy zebrać ciekawy materiał dotyczący uświadomienia i udziału w zbrodni właśnie owych wychwalanych teraz i jak owieczki uniewinnianych katolików wschodnio-niemieckich. Nie tylko wiedzieli oni o zbrodni, nie tylko brali w niej udział od Wisły po Wołgę, ale także mieli na nią wpływ. I o to usprawiedliwianie zbrodniarzy mamy my, katolicy zachodniopolscy, my działacze organizacji katolickich na terenie byłej Rzeszy Niemieckiej, większą bodajże pretensję do Ojca Świętego niż o jego niechęć do obecnej granicy na Odrze i Nysie. Bo granica ta powstała i pozostanie nawet wbrew Jego woli, ale pogląd na winę Niemców może się w świecie zmienić właśnie z Jego woli, która ustala przecież pojęcia moralne.

Katolicyzm polski panuje dziś na Ziemiach Odzyskanych. Ojciec Święty nie widzi jego osiągnięć, choć sam powołał do życia pięć administracyj apostolskich. Miejsca pątnicze odwiedza lud katolicki, księża biorą udział w wielkim dziele odbudowy tej części Europy, nie sieją nienawiści ale uczą nasz naród ukochania Boga i ziemi, codziennej pracy, która służy nie tylko Polsce, ale całej Europie. Wielkie uroczystości kościelne raz po raz, to w Gorzowie, to w Opolu, to w Gietrzwałdzie, dają znać o sile katolicyzmu polskiego na tych ziemiach, o jego wierności i prawdziwej gorliwości w wierze. Ojciec Święty wspominając o utraconych przez Niemców terytoriach wschodnich mówi o nich tak, jakby były one tym samym stracone dla katolicyzmu, ani słowem nie wspominając, że panuje tu, rozwija się dla chwały Boga i ziemi polski katolicyzm. W tym punkcie musimy, niestety, widzieć jedynie złą wolę względem katolicyzmu polskiego. Wszystko to aż przykro stwierdzać, godzi to bowiem w ustalone w naszym narodzie pojęcia o wierności Stolicy Apostolskiej, godzi w zdrowy rozsądek. A tymczasem Ziemie Odzyskane pracują — dla Kościoła. Powstają nowe kościoły, a Rząd daje wielkie sumy na odbudowę zniszczonych kościołów we Wrocławiu i w Szczecinie, w Nysie i Opolu, w Raciborzu, Gliwicach, Gdańsku. Odbudowane zaś one zostaną nie po to, by wypolerowane służyły jako muzea, lecz by przyjmowały wiernych dla wysłuchania Mszy św. A tymczasem rozwija się prasa katolicka na tych ziemiach, zakony zagospodarowują się w klasztorach, nabożeństwa z Wrocławia i Szczecina podaje fala radiowa... Wschodnio-niemiecki zaś katolicyzm, „wypróbowany i gorliwy", organizuje się do politycznych ataków na Polskę. List Ojca Świętego był niczym innym, jak przeglądem jego sił, jak rozkazem dziennym. Był przekreśleniem katolicyzmu polskiego, przemilczeniem jego istnienia na Ziemiach Odzyskanych. Był pochwałą wschodnio-niemieckich chwastów! Był błędem, który oby nie mścił się na Kościele.

Józef Ledwolorz

II Śląski Tydzień Kultury będzie manifestacją wszystkich sił kulturalnych Śląska. Imprezy kulturalne jak w roku ubiegłym odbywać się będą w najmniejszych miejscowościach Śląska a Wojewódzka Rada Narodowa odbędzie specjalne posiedzenie poświęcone sprawom kultury. Inicjatywa Wojewódzkiej Rady Kultury w Katowicach winna znaleźć naśladowców na wszystkich obszarach Ziem Odzyskanych.

STEFAN SULIMA

Ambasadorzy polskości

Autobus wyrzuca nas w Mikołajkach o nieprzyzwoicie wczesnej porze. Opieszałe wskazówki zegarka dociągają leniwo do szóstej. Nic dziwnego, że „Wenecja mazurska" dosypia resztek nocy. Z nielicznych tylko kominów, niczym z lulki wolno pykającego dziadzi, niewidzialny ogień wypłasza ospałe dymy. Nie trudno się domyśleć, że to nieotrzeźwiałe ze snu, niedbałe o tej porze w stroju gospodynie zabierają się do rozniecenia domowych ognisk.

Zresztą i przyroda nie bardzo zdołała się dotąd ogarnąć. Mleczne kłęby mgły, przepędzane z miejsca na miejsce leciutkim wietrzykiem, uparcie usiłują przycupnąć na wodzie, tłoczą się przeganiane w nadbrzeżnych szuwarach, przykucają w wgłębieniach ziemi. Słońce, widoczne tylko w odblaskach na niebie, zażywa jeszcze parówki w tumanie białego puchu, który ssą cierpliwie, lecz z pośpiechem ziemia i stalowa powierzchnia wody, mocując się z nim niby z markizą sklepową, falującą na wietrze.

O takiej porze nie ma się gdzie podziać wakacyjny włóczykij, panbrat rannych kogutów, który na pierwsze dzienne pianie ładuje plecak i daje się kierować włóczęgowskim zachceniom. Na śniadanie jeszcze za wcześnie. W pierwszym z brzegu lokaliku śniadankowym jednoosobowa obsługa inauguruje dzień przeciągłym ziewaniem, także wystygły piec w przyległej kuchence, nie inaczej porozwierane na ścieżaj drzwi do dalszych apartamentów, dowody pierwszej chaotycznej krzątaniny powszedniej i odurzenia ranem.

Żyjąc na prawach wolnego ptaka, trzeba się orientować avi modo po pierwszym lepszym znaku kierunkowym, skłaniać się ku pierwszej lepszej chimerze. Za mostkiem mikołajskim wyłaniają się już trzy dylematy: trzy drogowskazy machają rękami w stronę zalesionych garbów ziemi, naprowadzają na brzeg jeziora, potem na zacienioną alejkę nadwodną i ścieżki leśne wilgotne od rosy. Należy dobrze rozważyć kierunki i rozsmakować, jak smakosz obiadową kartę. Trzy obozy harcerskie w obcej mieścinie, o pogańskiej w dodatku porze, to nie byle gratka. Pierwszy odpada z konkurencji żeński, usuwa go w cień lapidarna tabliczka: „Kalety Śląskie", ale i ten ustępuje pobity przez zagadkowego współzawodnika: „KOS — Warmia i Mazury". Zwłaszcza ten „KOS", tajemnicza maska na znanych dobrze sprawach, decyduje o celu przechadzki.

Minęły na szczęście czasy, kiedy letnią porą na Pomorzu Mazowieckim wstawała bolesna i smętna cisza, nie potarmoszona nigdy beztroskim śmiechem, nie przewachlowana młodzieńczą piosenką, a głodne oczy daremnie szukały widoku młodych, wagarujących postaci. Szarańczą spadają co lata na mazurską i warmińską ziemię młodzi z całej Polski, a raz zażywszy jej uroków, nachwytawszy gadek jeziornej wody i nadbrzeżnych trzcin, eposów śpiewanych murami sędziwych zamków i kościołów, wracają coraz liczniej i liczniej, jakby przyświadczyć chcieli Wiechertowi, który o tej ziemi wydał opinię, że dla słowiańskiej, nie germańskiej duszy, jest narkotykiem.

Pomorze Mazowieckie wrasta w ciało Rzeczypospolitej. Widać to na przestrzeni każdego roku i choćby pragnienia ciągle jeszcze zostawały w tyle za rzeczywistością, co rok przybywają nowości, co rok ulatnia się wiele czadów, co do niedawna truły atmosferę tego kraju. Ale żadna z corocznych nowalii nie jest tak radosna i tryskająca ufnością, jak coraz to liczniejsze odciski podkutych butów na zagubionych ścieżkach polnych, jak dymki bijące znad harcerskich „wigwamów", wciśniętych w wyręby leśne, jak białe płatki żagli, unoszące się na falach jezior. One to świadczą o czymś więcej, niż o żmudnym wkorzenianiu się naszego pokolenia w prozę życia (choćby tak bujną jak epos odzyskiwania ziemi) Pomorza Mazowieckiego. Świadczą, że duszą lgniemy do tej wydziedziczonej z pamięci narodu dzielnicy chłoniemy ją w żyły, niby krew i gdyby kiedyś znowu ziemia i niebo miały się skotłować, kraj ten dla Polaka nie będzie już nigdy tylko najżywotniejszą z teorii, ale własnością oczu, skarbem wyobraźni, umiłowaniem serca. Tego nic nie jest w stanie odwrócić. Zaślubin serc polskich z ziemią Mazur i Warmii przybywa z każdym rokiem, młodzi i starzy coraz liczniej zostawiają tu na północy swoje gorące afekty.

Ale dwa są szczególne gatunki przelotnych letnich ptaków w krainie tysiąca jezior. Jedne z nich ściąga głód wody, jakiś nowy lecz już potężny w narodzie instynkt, nie zabity marazmem wieków, instynkt wodniackich przygód, sprawnego mocowania się z żywiołami z pomocą wątłych lecz uprawnych narzędzi ludzkiej przemyślności. Pojezierze Mazur i Warmii to przedszkole morskiego jachtingu, kołyska wielkiego najazdu polskiego na Bałtyk i... oceany, gdy patrzeć w jutro. Dziś, Eldorado zapaleńców, dla których najcenniejszym darem niebios są krzepkie wiatry, co zmieniają w skrzydła ociężałe, białe płachty, co ożywiają organizmy szkotów, grotów, sztag i wantów, co sprawiają, że „śmieją się" żagle — jak chce wodniacki żargon. One to dozwalają „wyostrzać" z zapałem kurs, albo „odpadać" od wiatru, one dają sposobności, by pojąć sztukę hisowania i skracania żagli, one dają możność radowania się życiem z innego świata, życiem oderwanym i beztroskim, spienionym fantazjami — marzeniem na jawie. Od „niemowlęcia" do żeglarza wiedzie daleka wodna kolej. Hojną ręką mości ją mazurska i warmińska ziemia, co przez swą hojność staje się bliższa i droższa.

Lecz najsympatyczniejsza jednak to młodzież, choć junacka i rokująca nadzieje. Bierze ona tylko przeważnie z darów niebios, wody i taniego, gdy chodzi o płody ziemi, kraju. Jej fantastyczny, zawarty między hermetyczną sztuką a żeglarską pozą, świat trwa tylko dwa lub trzy miesiące, a na rzeczywistości zaciąży dopiero gdy sfermentują pierwsze młodzieńcze zapały. Mazury i Warmia to nie tylko jeziora, chmury i wiatry, nie tylko uroda lasów i wzgórz, kraj wielkiej przygody. Są one i cząstką prozaicznego świata, siedliskiem skomplikowanych ludzkich problemów, nie powstających na krótkie miesiące, przeciwnie porozwlekanych daleko w czasie — w przeszłość i przyszłość. Oprócz wodnego ptactwa z ośrodków żeglarskich wpada rokrocznie w tryb życia Warmii i Mazur także inna młodzież. Że zaś przygodę łączy inaczej, niż tamta ze służbą, bliżej trzyma się ziemi, że przoduje starszym w pełnieniu społecznego obowiązku, że dotyka bolesnych spraw, których tylko młoda i wrażliwa ręka, nie jątrząc potrafi dotknąć — blednie przy niej świat wodniacki i jego dalekie cele.

Wszystkim młodzieńczym społecznikom przodują na Pomorzu Mazowieckim harcerze. Jeszcze w przeszłości o ich postawie, pracy, a głównie stosunku do miejscowego Polaka niejedno gorące słowo uznania wyrzekli wymagający tuziemczy działacze.

— Przyślijcie nam więcej harcerzy — apelował dwa lata temu jeden z przywódców mazurskich na tragicznym wówczas terenie szczycieńskim — a pojęcie Polska przestanie być pustym, niepokojącym tylko dźwiękiem. Ta młodzież ma ludzkie serca i obywatelskie ambicje, to wszystko właśnie, czego tak mało widać wśród napływowego społeczeństwa.

Pamiętajmy, było to aż dwa lata temu. Dziś harcerze to znana, wyrobiona firma repolonizatorska, nosiciele polskości, szerzyciele dobrego polskiego imienia na Ziemiach Odzyskanych, szkoda tylko, że w całej swej masie sezonowo działający. Naocznie przekonywujemy się o tym w Mikołajkach w Kształceniowym Ośrodku Starszyzny, bo tak wykłada się tajemniczy „KOS", któremu towarzyszy ciepłe słowo: Warmia i hardy dźwięk: Mazury. Młodzieńcza romantyka i organizacyjna specyficzność nie kładą się tu tamą na granicy codziennego życia. „Leśni ludzie", „Jarzębiny", „Dęby", „Leśne ptaki" nie zasłaniają się przed nim parawanem koczowniczej fikcji, trwającej tylko przez lato, ale wyżywając się zdrowo, młodzieńczo, hojnie oddają życiu za jego uroki. Co najbardziej krzepiące, należą do wkorzeniającego się w polską północ napływowego elementu.

Po raz pierwszy, nie licząc poczynań władz, spotykamy się na tę skalę w sferach napływowej polskości nie tylko z współczuciem dla „rodaczego" cierpienia i niedoli, gorącym krótkotrwałym odruchem czy gestem, ba, z wykształconą na obozie teoretyczną znajomością problemu — lecz także z planowo zakreśloną akcją.

Gdy pytamy o wytyczne pokazują nam i komentują dokonaniami program prac na Ziemiach Odzyskanych, opracowany przez Główną Komendę Harcerstwa, w którym mowa na pierwszym miejscu o współpracy z miejscowymi władzami i społeczeństwem, umiejętnym umacnianiu rodzimej polskości przez wzajemne stosunki, przez usługi, pomoc samarytańską, wzorową postawę, zbliżenie miejscowych z przybyszami, przez szanowanie przyrody, zabytków, schludność i uprzejmość, popularyzację wiedzy o Polsce. Nie na ostatnim miejscu wymienione są potrzeby inwentaryzacji pamiątek historycznych, ostrożności w obliczu rzekomych zabytków niemczyzny.

Obmyślał to ktoś, kto dokładnie poznał bolączki i potrzeby Ziem Odzyskanych, kto przeniknął bolesne tajemnice odzyskanych dusz, a doświadczenie nieraz okupił pewnie wstydem i upokorzeniem. Ale obóz chlubił się jeszcze tym, iż jego szczegółowe instrukcje regionalne poszły o wiele dalej niż centralne. Nie pominięto w nich bodaj niczego, co wielkim głosem woła z mateczników mazurskich i warmińskich, co rani serce i prosi się o zaradzenie. Znowu ktoś zadał sobie trud zrozumienia miejscowego Polaka, zapałał ambicją uładzenia jego wewnętrznych niepokojów. Przez zalecenia i nakazy przebijało czerwoną nicią gorące wezwanie do najsubtelniejszego traktowania spraw utraconej, czy zatraconej polskości. W takim duchu kształcono też przyszłych przodowników odrodzenia polskiego życia na Mazurach i Warmii, a sprawności „Rodła" i „Rodełka" dla uczestników obozu pobudzały realne wysiłki w terenie. Mówiono o nich skromnie.

— Na razie postaramy się pokazać ludności tuziemczej co sami potrafimy, potem będziemy przejmować od niej możliwie najwięcej rodzimych osobliwości. Na koniec podzielimy się doświadczeniami z resztą organizacji młodzieżowych. Zaprosiliśmy już na wspólny pobyt przedstawicieli ZWM-u, TUR-u, Wici i in.

I tutaj czerpano hojnie z darów przyrody. Las, porosłe zagajnikiem pagórki i niedalekie jezioro dostarczały tysiąca i jednej sposobności do harców i gier skautowych. Jednakże współżycie tej młodzieży z odzyskaną ziemią uderzało nie od tej strony, imponowało widziane od strony rodzimego człowieka. Ci młodzi szczepili na tej ziemi pierwsze wyobrażenia o polskiej zbiorowości społecznej, a jednocześnie zdawali sobie w pełni sprawę ze swej odpowiedzialności. Nieraz zatrącało to o wzruszającą groteskę. Nawet małe „parzygnaty" (kucharze) przejęte swą rolą, wiedziały co robią i po co biwakują na skraju Mikołajek. Nie mogąc nic więcej zdziałać przy kotle i chochli, pełnili swe obowiązki... reprezentacyjnie. Nawet małe 9-letnie nieraz „pierony" z Kalet Śląskich szły o lepsze w nawiązaniu stosunków z miejscowymi rówieśnikami. Malcy mazurscy pokaźnym stadkiem zbiegali się od wczesnego rana między namioty kalecian i mimo że obóz się kończył, ciągle mieli otwarte oczy i usta w niemym podziwie dla rezolutnych Ślązaczków, których osobliwości dialektu i piosenki przyswoili sobie od miesiąca. W zamian za to kalecianie wyśpiewywali na zawołanie mazurskie piosenki, pełne prostego, sielskiego humoru. I tam trafiła piosenka z mazurskiego „Plonu" o zwierzętach, co chleb piekły, iskrząca beztroską pogodą. O psie, co drwa rąbał, suce, co na młyn „trąbziła", o myszce, co chleb wsadzała do pieca i kotku, który jej zawadzał, o koniu, co w piecu palił i kobyle, która go za to chwaliła.

To była praca twórcza, jednocześnie wspaniała szkoła obywatelskich cnót, w której nauczanie szło w parze z własną nauką, a zyski zbierała narodowa sprawa. Obóz KOS-u dobiegał, gdyśmy go widzieli, zaledwie połowy czasu swego trwania, mimo to głosy z miasteczka świadczyły o jego zdobyczach aż nadto wymownie. Pewnie z jeszcze większym sukcesem podsumował całomiesięczny bilans. Gdy znikły obozowiska „Jarzębin" i „Leśnych ptaków", pustka lasu podmikołajskiego wydała się na pewno większa miejscowemu człowiekowi, niż kiedykolwiek dotąd. Może i zatęsknił za uczynnością kuso ubranych młodzików, za ich szczerym uśmiechem i dobrym słowem. Nie jest

(Dokończenie na str. 3)

EDMUND OSMAŃCZYK

Walka o niemiecką kulturę

Berlin, w maju.

I.

Nie należy być ślepym. Upadek polityczny i moralny narodu niemieckiego nie starł z powierzchni ziemi dorobku kultury niemieckiej. Dorobek ten istnieje w ocalałych od zagłady bibliotekach, muzeach, galeriach malarstwa i rzeźby, warsztatach naukowych, w pracowniach kulturalnych i to nie tylko Niemiec, ale i wielu innych krajów Europy i Ameryki. Dorobek ten żyje pozatem — znów nie tylko w umysłach garści sprawiedliwych Niemców, rozsianych po Niemczech i świecie, ale i w umysłach wielu uczonych, badaczy, pisarzy artystów Europy i Ameryki.

Nie należy być ślepym. W latach 1870 — 1933 Niemcy stworzyli jedną z najruchliwszych organizacji rozpowszechniania wartości kultury niemieckiej w świecie. Ich wydawnictwa naukowe, czy artystyczne utrzymywały w świecie legendę o niezmiennym istnieniu „einer Nation von Dichtern und Denkern". Urok kultury niemieckiej dla czterech ostatnich pokoleń Europejczyków a i Amerykanów był ogromny. Hitler doszedłszy do władzy nie zniszczył uroku niemieckiej kultury. W roku 1933 Hitlera uznano za barbarzyńcę, którego jednak od barbarzyństw masowych pohamuje siła kultury narodu niemieckiego. Dziś wiemy, że tak się nie stało. Niemniej przez długie lata wojny nie wierzono na zachodzie Europy i w Ameryce w rozmiary barbarzyństwa Niemców. Miliony Żydów i Polaków ginęły w komorach gazowych, a w Londynie, Nowym Jorku, Ottawie, ba, nawet w Amsterdamie, Paryżu, Brukseli, nie wierzono, iż wieści o masowych mordach są prawdziwe.

Nie należy być ślepym. W latach 1945 — 1948 widoczny nareszcie dla całego świata upadek polityczny i moralny narodu niemieckiego nie osłabił uroku kultury niemieckiej. Skoro okupacja nie potrafi zdemokratyzować Niemiec, skoro okupacja nie podnosi, lecz pogłębia, upadek moralny, to zatem należy zawrócić do źródła dawno minionej uczciwości niemieckiej — do kultury tego kalekiego dziś narodu. Należy więc odbudować życie kulturalne Niemiec, powiązać je znów z całym światem, dać Niemcom szeroki oddech, jaki znali w czasach Goethego i Herdera, Nietzschego i Schweitzera, Manna i Plancka. — Te nawoływania słychać zewsząd, z Francji i z Belgii, z Szwajcarii i Holandii, z Anglii i ze Stanów Zjednoczonych. Wielka międzynarodówka twórców kultury krajów Europy Zachodniej i drugiej półkuli przystąpiła już do walki o odrodzenie kultury niemieckiej.

Nie należy być ślepym. Gra o odrodzenie kultury niemieckiej toczy się o wysoką stawkę — o sens tworzenia kultury. Zbyt wiele było głosów pesymistów, nie wierzących w uszlachetnianie ludzi kulturą i zbyt potężne potwierdzenie znalazł pesymizm ich w dziejach narodu niemieckiego, aby nie wywołało to rozpaczliwej nadziei wśród wierzących, iż jednak pomimo strasznej przeszłości, stanie się cud odrodzenia narodu niemieckiego poprzez odmłodzenie kultury. Jest to bardzo ludzka wiara w lepszą przyszłość na przekór złej nieludzkiej przeszłości.

Nie należy być ślepym. Niemcy przestały być hitlerowskim obozem odosobnienia, dzielnicą zadżumionych. Od trzech lat zjeżdżają się do Niemiec lekarze kultury z całego świata. Walka o odrodzenie kultury niemieckiej już się rozpoczęła. I obojętnie czy się wierzy w uszlachetniającą tej walki skuteczność, czy się w nią nie wierzy, trzeba o niej wiedzieć, trzeba o niej myśleć i — ośmielę się to powiedzieć zaraz na wstępie — trzeba w niej brać udział.

II.

Ciężar zbrodni, popełnionych przez Niemcy w czasie drugiej wojny światowej, spoczywa na każdym Niemcu. Niemieccy profesorowie uniwersytetów, pisarze, artyści, z natury rzeczy bardziej wyczuleni na opinię świata — choćby po stokroć razy co dnia powtarzali sobie i światu, iż są niewinni — odczuwają osobiście ten odór barbarzyństwa, który unosi się nad nimi dlatego tylko, że są Niemcami. Ich walka o wydostanie się z magicznego koła „niemieckości" w szeroki krąg międzynarodowej współpracy jest walką poniżonego o równość. Niedostatek materialny, wyjaskrawiony kontrastem bogactwa codziennego życia, stacjonujących w Niemczech okupantów, pogłębiony jest niedostatkiem, a raczej gorzej jeszcze — nędzą moralną. Niedostatek materialny można znosić z godnością, jeśli tej dostaje w narodzie, tak jak zaprzeczać można winie narodu, jeśli są siły moralne w narodzie po temu. Rzeczywistość niemiecka jest jednak ponura. Samolubstwo jednostek, odzwyczajonych od dzielenia się kawałkiem chleba, idzie w parze z solidarnością najniższego rzędu — z solidarnością nacjonalistyczną oburzeń, protestów, wyrzutów pod adresem „bogatego" zwycięskiego świata. „Wina" leży poza Niemcami! — to irracjonalne przekonanie, mające być odtrutką na wewnętrzną słabość, gorzej jednak co dnia w co najmniej anormalnej rzeczywistości okupowanych Niemiec. Dla niemieckich uczonych, pisarzy, artystów skok w „międzynarodowość" w „europejskość" nauki, sztuki, kultury jest wyzwoleniem, jest skokiem z trzęsawiska na udeptaną, twardą drogę ludzkości.

Skok taki jest jednak tylko osobistym awansem danego uczonego, pisarza czy artysty. To nie jest jeszcze skok narodu. — Polityczne racje nakazują pewnym odłamom opinii światowej wybielanie narodu niemieckiego i wykorzystywanie indywidualnych powrotów szeregu Niemców do międzynarodowego kulturalnego życia, jako dowodu politycznej dojrzałości powojennych Niemiec. I tu tkwi niebezpieczeństwo szlachetnej niewątpliwie walki o odrodzenie kulturalne narodu niemieckiego, iż zbyt szybko umożliwia polityczne koncesje, nie poparte głębszymi zmianami społecznymi.

Pięknoduchostwem jest bowiem złuda odmieniania narodów samą pięknością myśli, wyrażanych literackim słowem, malarskim płótnem, czy rzeźbiarską bryłą. Siła myśli przeorującej społeczności nie wywodzi się z piękna, lecz z brzydoty, nie z dobra, lecz ze zła. W tym tkwi największy triumf możliwości myśli ludzkich, iż potrafią ujarzmić brzydotę i zło społecznych niedomagań, aby buntem przeciw samym sobie brzydota i zło potęgowały wolę ludzką tworzenia piękna i czynienia dobra.

Kto nie sięga do społecznych bóli, kto pomija przymus społecznych przemian, ten buduje dom na piasku. Kultura staje się wtedy oszustnym ornamentem zalganej polityki. Niczym więcej .

Tragedią współczesnych Niemiec jest to, że naród niemiecki, przyzwyczajony od Bismarcka do kolosalnego ornamentu kultury na kolosalnej fasadzie polityki, nie rozumie potrzeby społecznego wstrząsu, mimo, że nie ma chyba obecnie w Europie, poza Hiszpanią, kraju o tak jaskrawych dysproporcjach społecznych, jak Niemcy.

Ten rodzaj walki, który o odrodzenie kultury niemieckiej prowadzi dziś większość olbrzymia uczonych, pisarzy i artystów niemieckich, poparta moralnie, a częściowo i materialnie przez organizacje kulturalne Europy Zachodniej i Ameryki, jest szlachetnym łudzeniem się możliwością odbudowania tego, co było, a już nigdy nie będzie. Odrodzenie, to nie znaczy odbudowa. Odrodzenie — to znaczy wyzwolenie sił nowych, a nie odbudowywanie sił starych.

Minął czas, kiedy kultura niemiecka mogła być narzędziem propagandowym polityki niemieckiej. Ten czas skończył się katastrofą, niszczącą złudę moralnej siły kultury niemieckiej. Nadszedł czas, kiedy kultura niemiecka, jeśli chce się naprawdę odrodzić, musi stać się siłą społeczną narodu niemieckiego, a tym samym przywrócić sobie i narodowi utraconą siłę moralną.

Można rozumieć tragedię uczonych, pisarzy i artystów niemieckich, można im współczuć, jako ludziom, których los — zasłużenie, czy nie zasłużenie, to obojętne — poniżył i odarł z rządu dusz, pozostawiając samotnych w morzu najbliższych sobie ludzi. Można i należy wyciągnąć do nich pomocną dłoń. Nie wolno jednak ich łudzić pomocą w odbudowie straconych na zawsze przez Niemcy pozycji.

W polityce, odbudowa przemysłu niemieckiego w planie Marshalla, posiada swój sens — oczywiście nie niemiecki — umocnienia wpływów amerykańskich w Europie. W polityce tej, wewnętrzna wartość Niemców, odbudowujących swą przemysłową siłę jest obojętną dla tych, którzy pragną siłę tę wykorzystać dla siebie.

Inaczej z kulturą niemiecką.

Jej potrzebność dla świata jest oczywista tylko wtedy, kiedy odzwierciadla żywe wartości wewnętrzne Niemców. A więc posiada nie tylko znaczenie światowe, ale przede wszystkim wewnętrzno-niemieckie.

To, co nazywam odbudowywaniem straconych pozycji, to nic innego właśnie jak przywracanie tego stanu ponurych lat hitlerowskich, kiedy kultura niemiecka była wartością dla świata, natomiast bez znaczenia była dla życia i czynów narodu niemieckiego.

III.

Starałem się możliwie najprościej nakreślić przyczyny i błędy niedocenianego u nas zjawiska, rozpoczętej w roku 1945 wielkiej światowej batalii o odrodzenie kultury narodu niemieckiego. Starałem się uzasadnić potrzebę twórców kultury nie — Niemców brania udziału w akcji ratowniczej i potrzebę twórców kultury Niemców ratowania się z poniżającego osamotnienia.

Ocenę subiektywną tego zjawiska wyraziłem na wstępie osobistym przekonaniem, iż o walce tej trzeba i wiedzieć i myśleć i — co najważniejsze — brać w niej udział. Wiem, że w Polsce tego rodzaju do końca doprowadzone wnioski w stosunku do spraw niemieckich spotykać mogą na uzasadniony całkowicie opór. Cóż bowiem znaczy „brać udział" w walce o odrodzenie kulturalne narodu niemieckiego? — To znaczy dawać Niemcom pomoc kulturalną, to znaczy wzmagać ich siły społeczne.

Nie ułatwiam sobie obrony, tak jaskrawo formułując stanowisko Polaka w sprawie niemieckiej. Pamiętam również niedawną, bardzo oficjalną, wypowiedź jednego z czołowych naszych ministrów: „Nic Niemcom awansem dawać nie będziemy. Najpierw oni muszą nam dać uznanie naszych granic na Odrze i Łużyckiej Nysie i gwarancję rzetelnych stosunków sąsiedzkich".

Sformułowanie to jest tak logicznie trafne, że publicysta musi milknąć, wiedząc, że tu opinia przedstawiciela Rządu jest opinią całego społeczeństwa polskiego, rozumującego w sprawach niemieckich bez krzty złudzeń.

A jednak, z uporem obstając przy swoim, uważam, iż nie ma sprzeczności między słuszną zasadą polityczną a postulatem udziału Polski w toczącej się światowej batalii o oblicze kulturalne przyszłych Niemiec. Można bowiem przyjąć tylko jedną z dwu tez:

1. Niemcy nigdy się nie zmienią.
2. Niemców można zmienić.

W pierwszym wypadku, skoro Niemcy nigdy się nie zmienią, to nigdy nie dadzą nam gwarancji rzetelnych sąsiedzkich stosunków i nigdy nie zgodzą się na granicę Odra — Nysa Łużycka. Zatem należy z b u d o w a ć mur chiński wzdłuż tej granicy i ustawić armaty zawsze gotowe do strzału. A wszystko co się dziać będzie wewnątrz Niemiec może być nam obojętne, bo „Niemcy się nigdy nie zmienią".

W drugim wypadku, skoro Niemcy mogą się zmienić, to będą mogli i z nami mieć dobre wreszcie stosunki sąsiedzkie i będą mogli pogodzić się z granicą Odra — Nysa Łużycka. Zatem należy jak najbardziej przyspieszać tę zmianę, popierając tych Niemców, którzy do takiej zmiany dążą, zwalczając zaś tych, którzy ją uniemożliwiają. Wszystko więc co się dzieje wewnątrz Niemiec nie jest nam obojętne, bowiem przyspiesza lub opóźnia zmianę.

Przytoczona powyżej zasada naszej obecnej polityki polskiej bynajmniej nie opiera się na tezie pierwszej. Przeciwnie, zakłada zmianę, którą dopinguje obietnicą pomocy... po zmianie. Im szybciej nastąpi zmiana, tym szybciej damy pomoc.

Ryzykowne na pozór twierdzenie moje, iż nie ma sprzeczności między słuszną zasadą polityczną a postulatem kulturalnym opiera się właśnie na wspólnym założeniu, iż odmienienie się narodu niemieckiego nastąpi. Złożą się na to przemiany polityczne, społeczne i kulturalne nie tylko w samych Niemczech ale w całym świecie. Gdyby nawet Niemcy chcieli tkwić bez końca w tępym amoralnym nacjonaliźmie, to zmusi ich do przemian sama mechanika nowego rozwoju Europy. Sam rozwój Polski i Czechosłowacji, dwóch sąsiadów Niemiec, tak różny od rozwoju lat 1918 do 1939, odbiera realne możliwości kontynuowania przez Niemców ich polityki „wschodniej" a tym samym kontynuowania w nieskończoność anormalnego bezkulturza.

Polityczna zasada nie dawania Niemcom awansem politycznych koncesji — jest po stokroć słuszna. Udział nasz w walce o odrodzenie kultury niemieckiej musi mieć na celu również dawanie zbyt wcześnie politycznych koncesji Niemcom. A to, niestety, również z powodu braku naszego udziału — dzieje się bez niczyjego protestu i bez niczyich wskazań drogi właściwej. To ostatnie zdanie jest niewątpliwie przesadne. Chodziło mi jednak o podkreślenie siły tych, którzy zbyt spiesznie otwierają Niemcom starą ich drogę w świat, a słabości tych, którzy odrodzenie kulturalne Niemiec widzą w przymusie głębokich zmian społecznych Niemiec.

Nie należy być ślepym. Gra o Niemcy, o naszego w i e c z n e g o s ą s i a d a, toczy się na wielu płaszczyznach. Być neutralnym obserwatorem — to luksus nie dla nas. Musimy być stroną zwalczającą i wywalczającą. Musimy zwalczać wszelkie zbyt wczesne koncesje polityczne dla nieodrodzonych Niemiec, ale musimy i wywalczać właściwe formy odradzania się narodu niemieckiego.

100 lat temu w Berlinie, 19 marca 1848 roku, wieziono Polaków w pochodzie triumfalnym przez Unter den Linden jako współbojowników o wolność ludu niemieckiego. Z tej niezwykłej chwili, przypieczętowanej krwią wspól nie przez Polaków i Niemców przelanej na barykadach Berlina, nie zostało dziś nawet śladu w pamięci obu narodów. Byliśmy wówczas bojownikami bez państwa, bez fortuny i bez siły niewyzwolonych mas ludowych. Mogliśmy krew przelewać za wolność cudzą, lecz już na bieg cudzej wolności wpływu mieć nie mogliśmy. Historia Niemiec potoczyła się bez naszego współudziału, natomiast historia Polski z bezlitosnym współudziałem Niemiec.

Po raz pierwszy w dziejach posiadamy możliwości wpływania na bieg historii Niemiec. O tym nie wystarczy wiedzieć, o tym trzeba myśleć i trzeba to czynnie wprowadzać w życie.

Edmund Osmańczyk

Post scriptum:

Prof. dr Claus Clusius, z uniwersytetu monachijskiego otrzymał zaproszenie do objęcia katedry chemii na uniwersytecie w Zurychu.

* * *

Prof. Karl Jaspers z uniwersytetu w Heidelbergu, objął katedrę filozofii na uniwersytecie w Bazylei.

* * *

W 10 Międzynarodowym Kongresie Dentystów w Stanach Zjednoczonych wziął udział prof. Karl Schuchardt, dyrektor Kliniki Stomatologicznej w Hamburgu.

* * *

Prof. W. Gurlitt z uniwersytetu we Fryburgu (Br.) został zaproszony do objęcia katedry muzykologii na uniwersytecie w Bernie.

* * *

Prof. Fr. Tobler z uniwersytetu berlińskiego objął katedrę botaniki na uniwersytecie w Zurychu.

* * *

Prof. R. Guardini z uniwersytetu w Tybindze, miał wykład w Sorbonie, jako pierwszy uczony niemiecki po wojnie.

* * *

Prof. dr Altmann z uniwersytetu w Marburgu wykłada przez obecny rok na uniwersytecie w Lund (Szwecja).

* * *

W ostatnich trzech miesiącach następujący uczeni odwiedzieli Niemcy i mieli wykłady na uniwersytetach niemieckich: prof. Jacques Maury, dziekan wykładu prawa uniwersytetu w Tuluzie; prof. Peroy z uniwersytetu w Lund i prof. Fraukl z uniwersytetu Chicago, prof. F. Ranke z uniwersytetu w Bazylei, prof. sir Ernest Baker z Cambridge, prof. W. Barblinger z Davos, prof. Emanuel Mounier z Paryża, prof. A. Rustow z Istambułu, prof. L. Zimmermann z Amsterdamu oraz sześciu profesorów uniwersytetu w Chicago, którzy przez dwa semestry zamierzają wykładać na uniwersytecie we Frankfurcie nad/M.

* * *

Uniwersytet w Monastyrze będzie całkowicie na nowo odbudowany z funduszów zaofiarowanych przez instytucje kulturalne angielskie.

* * *

Uniwersytet w Greifswaldzie przedłożył władzom okupacyjnym projekt wykorzystania wybudowanej przez „Kraft durch Freude" osady klimatycznej na Rugii, jako miejsca dla Międzynarodowego Uniwersytetu. — Osiedle zbudowane było na 20 000 osób.

* * *

Słynna biblioteka uniwersytecka w Lipsku, licząca przeszło milion książek, została już odbudowana i oddana do użytku publicznego. Korzystać z niej mogą uczeni w całych Niemczech za pokryciem tylko porta przesyłki wypożyczanej książki.

* * *

W dawnym Ordensburgu Sonthofen w Hesji władze okupacyjne amerykańskie zamierzają stworzyć Międzynarodowy Uniwersytet, którego wykładowcami byliby uczeni z całego świata a prócz młodzieży niemieckiej studiowaliby również stypendyści innych narodów.

* * *

W Tybindze od roku przebywa duża grupa studentów Francuzów, którzy obecnie powołali do życia organizację studencką niemiecko-francuską, pod nazwą „Gruppe Frankreich".

* * *

Senat miasta Bremy uzyskał zgodę władz okupacyjnych amerykańskich na otwarcie już w roku bieżącym Uniwersytetu Międzynarodowego. Ma mieć on przede wszystkim szeroko rozbudowane wydziały ekonomii i socjologii oraz prawa międzynarodowego, morskiego i handlowego. Władze amerykańskie przyrzekły pomoc w uzyskaniu międzynarodowych sił profesorskich oraz w przyciągnięciu młodzieży z innych krajów.

* * *

W Kevelaer w Nadrenii odbył się w dniach 2—4 kwietnia br. Kongres Katolickiego Ruchu Pax Christi, w którym wzięło udział poza Niemcami kilka tysięcy osób przybyłych z Francji, Holandii, Belgii, Szwajcarii, Luksemburgu i Włoch.

* * *

W Wiesbadenie powstała organizacja wyznań ewangelickich w Niemczech pod nazwą „Mundus Christianus", mająca na celu wzmocnienie więzów przyjaźni między chrześcijanami całego świata.

* * *

Istniejący w Szwajcarii Międzynarodowy Instytut Polityczno-Społeczny postanowił swe doroczne zebranie zwołać do Regensburga (strefa amerykańska Niemiec).

* * *

Z braku miejsca na tym kończę niezmiernie długą listę międzynarodowej współpracy kulturalnej z Niemcami.

E. O.

Gość zza Nysy łużyckiej

Michał Nawka nie pierwszy raz jest w Polsce. Gościł tu już raz w 1910 r., serdecznie ujmowany przez wielce zasłużonego dla sprawy łużyckiej śp. Bernarda Chrzanowskiego. Drugi raz przybył na okres kilkotygodniowy w r. 1929, zwiedzając wtedy m. in. słynną PWK poznańską.

Ze zdziwieniem słucham czystej, literackiej polszczyzny p. Nawki. Zapytuję, kiedy potrafił opanować tak dobrze język polski, rzadko kiedy mając z nim bezpośredni kontakt.

— Przede wszystkim z gazet — odpowiada. Przysyłali mi przyjaciele różne pisma polskie na Łużyce. Z nich najlepiej pamiętam „Pielgrzyma", „Pracę", „Przewodnik Katolicki". Poza tym korespondencja z wielu Polakami. M. in. właśnie z Bernardem Chrzanowskim, równie bliska z ks. Ludwiczakiem, któremu do prowadzonego przezeń uniwersytetu ludowego przysyłałem na naukę dziewczęta i chłopców łużyckich. Oprócz pism, trafiały się też czasem i książki polskie. Mając bezpośredni, stały kontakt z polskim słowem drukowanym, a to i odręcznym, nie trudno było opanować tak pokrewny naszemu język polski.

— *A skoro już jesteśmy przy języku... Pan jest podobno specjalistą w zagadnieniach językoznawczych? Słyszeliśmy o pańskiej gramatyce języka łużyckiego i słownikach.*

— Specjalistą, to może za wiele. Rzeczywiście jednak, zagadnienia językoznawstwa interesowały mnie szczególnie, może dlatego, że w tej dziedzinie istniały w naszym dorobku łużyckim poważne braki.

Starałem się je choć w części wypełnić. Dlatego też pracę w tej dziedzinie zacząłem od podstaw. Jako pierwszą rzecz w tej dziedzinie ogłosiłem w r. 1920-21 „Przewodnik po mowie łużyckiej", w parę lat potem elementarz pt. „Na wsy — za

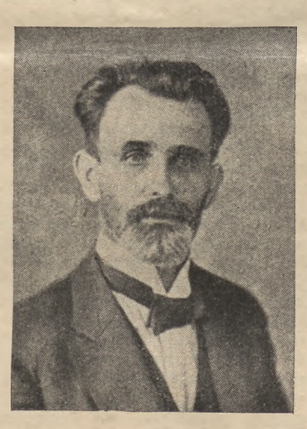

wsu" ilustrowany przez najwybitniejszego naszego malarza M. Nowaka. No i wreszcie 3-tomowa gramatyka języka łużyckiego.

— *Czytałem kiedyś, bodaj w „Łużicko-srbskym Viestniku" o pracach naukowych językoznawczych, wyszłych spod Pańskiego pióra!*

— To chyba „Sens naszych słów" z 1928 i w prawie 10 lat po tym wydane „Wskazówki dla ust i pióra".

— *A czy nie nosi się Pan z zamiarem dokończenia druku pańskiego słownika łużycko-niemieckiego? Słyszeliśmy dotąd tylko o pierwszej jego części.*

— Praca jest skończona już od lat. Ale czy i kiedy będzie wydana, nie umiem odpowiedzieć. Dziś w każdym razie nie ma na to jeszcze warunków. Zresztą, nawet na staranie brak mi czasu, który cały poświęcam pracy w naszym seminarium nauczycielskim, jakie prowadzę w Radworju.

— *Może Pan opowiedziałby nam coś o Radworju. Tutaj do nas dochodzą tylko strzępy wiadomości o tej zasadniczej dla przyszłości Łużyc pracy, jaką jest wychowanie własnych młodych kadr nauczycielskich.*

— Instytut w Radworju powołaliśmy do życia zaraz po restytuowaniu prac „Domowiny" w 1945 roku. Była to rzecz konieczna, bodaj najpilniejsza. Po zawierusze wojennej przy życiu pozostała niewielka ilość nauczycieli łużyckich. A jednocześnie otwierały się przed nami możliwości kształcenia w rodzinnym języku tysiącznych mas młodzieży serbskiej. Zaniedbanie tej okazji byłoby rezygnacją z wychowania świadomej inteligencji narodowej, co z kolei pociągnęłoby nasz zupełny upadek, jako samodzielnie myślącego i czującego narodu wśród zalewu niemieckiego. Zdawałem sobie w pełni sprawę, jako kierownik Instytutu, że nie sposób byłoby w proporcji do wymagań chwili prowadzić od razu normalne, paroletnie przeszkolenie przyszłych nauczycieli. Z konieczności ograniczyliśmy w pierwszych grupach naukę do dwóch tylko miesięcy, w nadzwyczaj intensywnym stopniu starając się dać zgrupowanej w instytucie młodzieży jak najwięcej zarówno praktycznych jak i teoretycznych wiadomości. Do tej chwili przeszkoliliśmy w ten sposób około 200 nauczycieli, którzy dziś już z powodzeniem pracują w terenie.

— *Pewna część młodzieży łużyckiej kształci się na wyższych uczelniach państw słowiańskich. Ciekawym, jak przedstawia się to cyfrowo?*

— Najwięcej, jak dotąd, jest naszej młodzieży w Czechosłowacji. Jeszcze w roku bieżącym wysłaliśmy tam ponad dwudziestu nowych studentów. Poza tym kilku wybiera się do Jugosławii, no i oczywiście do Polski. W tych dniach przybędzie do Polski nowa grupa dziesięciu chłopców i dziewcząt na studia.

— *W jakim kierunku kształci się zasadniczo młodzież łużycka?*

— Staramy się raczej kierować ją na studia techniczne. Brak nam własnych inżynierów i techników. Prócz tego ważną jest medycyna. Jednak kilku studiuje też prawo i historię. Wychowankowie natomiast M. Nowaka, rzeczywiście głęboko uzdolnieni, wybrali sztuki piękne.

— *Dosyć szeroki zasięg. Za kilka lat otrzymają Łużyce sporą kadrę inteligencji własnej, co niewątpliwie zaważy na dalszym rozwoju pracy narodowej. Wróćmy zaś do spraw bezpośrednio tyczących Pana. Syn Pański studiuje w Poznaniu historię?*

— Tak, pociąga go ta dziedzina wiedzy. Drugi syn znowu jest w Pradze. Ten znów specjalizuje się w medycynie, trzeci jeszcze w Bratysławie zgłębia filozofię.

— *Pan zdaje się, ma więcej dzieci.*

— O tak, tego to mi Bóg nie poskąpił. Miałem 10 synów i 3 córki.

— *Mówi Pan miałem, czyżby zginął ktoś z nich?*

— Jedno dziecko zmarło mi w niemowlęctwie. Straciłem jeszcze jednego syna w czasie tej wojny. O jednym jeszcze nie mam dotąd wiadomości. Pozostało 7. Trzech pracuje w domu na Łużycach (2 nauczycieli, 1 inżynier), jeden w Polsce, jeden w Czechosłowacji. Ostatni, ksiądz, jest na zachodzie Niemiec, wkrótce wraca na Łużyce. Córka moja też jest w Polsce, w Świdnicy. U niej właśnie się zatrzymałem zaraz po przyjeździe do Polski. Najstarsza pozostała na Łużycach — najmłodsza ma przybyć na studia do Polski.

A po chwili z uśmiechem:

— Proszę się nie dziwić tak wielkiej cyfrze potomstwa. To normalne w łużyckich rodzinach. Gdybyśmy nie posiadali tak wielkiej siły witalnej, na pewno nie ostalibyśmy się już dzisiaj na powierzchni po tysiącletnich zmaganiach z systematyczną germanizacją.

— *Czy można być niedyskretnym i zapytać, nad czym myśli Pan w tej chwili?*

— Nie tyle myślę. Raczej kontempluję się atmosferą, jaka mnie otacza. Jest tu u was tyle pogody i tyle spokoju. Nie ma tego nieustannego pobrzęku niemczyzny, jak u nas. Wy możecie sobie pozwolić na odpoczynek.

— *Bezwzględnie, że sytuacja naszych narodów jest różna. Ale i Łużyczanie teraz oddychają innym powietrzem.*

— Dzięki władzom radzieckim i postępowym demokratycznym kołom niemieckim.

— *W tej nowej sytuacji historycznej Łużyczan niewątpliwie ma Pan sporo pracy typu nie naukowego lecz społecznego.*

— Od grudnia 1945 r. jestem prezesem Komitetu Słowiańskiego na Łużycach. Z jego ramienia uczestniczyłem ostatnio na zjeździe wszechsłowiańskim w Belgradzie. Ta praca też absorbuje mię bardzo. Poza tym robimy starania o reaktywowanie „Sokoła". Trzeba panu wiedzieć, że przed wojną byłem redaktorem „Sokolskich listow", czasopisma tej organizacji. No, i jeszcze do dziś dnia prowadzę na swoim terenie koła śpiewacze. Do tej pracy czuję specjalne zamiłowanie. Wydałem ongiś wspólnie z p. Krawcem śpiewniki szkolne łużyckie dla wszystkich klas szkoły powszechnej.

— *Zarówno w dziedzinie organizacyjnej jak i pisarskiej jest Pan bardzo wszechstronny. Czy mógłbym usłyszeć jakie prace Pan jeszcze drukował?*

— Proszę. A co do wszechstronności, to trudno. Jest nas tak mało, że musimy starać się o wypełnienie luk we wszelkich dziedzinach. Otóż, co do twórczości pisarskiej. Napisałem i przetłumaczyłem około 10 utworów scenicznych dla starszych i dzieci, częściowo o tematyce narodowej, częściowo religijnej. Opatrywałem też tekstem cykle ilustracji dla dzieci Marcina Nowaka. Próbowałem i twórczości poetyckiej, wydając kilka tomików, z których najbardziej znane były „Weselne wiersze" (1929). Dużo pracowałem nad tłumaczeniem, przyswajając m. in. naszej literaturze „Rewizora" Gogola i „On jest głuchy" Pleszczejewa. Wystarczy chyba, gdy do tego wszystkiego dodam jeszcze artykuły i jeszcze raz artykuły do naszych czasopism przedwojennych.

— *Nie chciałbym nadużywać już więcej pańskiej uprzejmości, zapytałbym więc tylko na zakończenie, jak zapatruje się Pan na obecną sytuację Łużyc?*

— Optymistycznie Zbliżamy się do nowego odrodzenia narodowego. Wiele tu zawdzięczać musimy, powtarzam raz jeszcze, władzy okupacyjnej radzieckiej, która stara się iść nam na rękę, uwzględniając nasze postulaty.

Rozmowę przeprowadził
EUGENIUSZ PAUKSZTA

Państwowy Instytut Wydawniczy

Udział państwa w ruchu wydawniczym był dotychczas, śmiało można powiedzieć, minimalny, mimo iż jest to dziedzina pracy w której mogłoby oczekiwać z tej strony silnej i szeroko zakrojonej inicjatywy Zaszedł po prostu fakt, że wbrew wszelkim pozorem i wydawało by się sprzyjającym okolicznościom państwo zostało tu wyprzedzone przez wydawniczy ruch spółdzielczy no i przez ruchliwych i umiejących omijać trudności — wydawców prywatnych. Państwowy Instytut Wydawniczy nie zdołał w pierwszym etapie niepodległości zmontować odpowiedniego aparatu środków technicznych i został bezapelacyjnie zdystansowany przez konkurencję mogąc wyjść do dnia 1. 1. 1948 z 70-ma tylko pozycjami różnych rozmiarów i wagi wśród których nie brakło i aktualnych broszur lub broszurek.

Opublikowanie przez tę nieznaną dotychczas szerzej instytucję planu wydawniczego na lata 1948/1949 każe jednak poważnie liczyć się z tym, że w najbliższych miesiącach obok trzech wielkich wydawnictw spółdzielczych decydujących w dużej mierze o obliczu naszych poczynań wydawniczych pojawi się czwarta pozycja, właśnie Państwowy Instytut Wydawniczy. Wpomniany plan wskazuje, że wydawnictwo to przeszło przez okres trudności, że przebyło etap organizowania wielkiego aparatu technicznego i że czuje się tym samym zdolne do podjęcia prac wydawniczych zakrojonych na naprawdę wielką skalę. Ta skala jest tak wielka, że budzą się nawet wątpliwości, czy nie jest to mierzenie sił na zamiary, czy młoda ta instytucja podoła zadaniom, jakie sobie stawia i to w tak krótkim terminie dwóch lat.

Bo wykonanie wygłoszonego przez Państw. Instytut Wydawniczy planu stworzy pokaźną, kilkusettomową bibliotekę opartą o rozległy zakres tematów i gatunków publikacji. Zakres ten sięga od wielkich i poważnych dzieł naukowych do drobnych publikacji aktualnych o charakterze informacyjno-politycznym.

Przede wszystkim PIW zapowiada rzecz ogromnej wagi wydawniczej: dwutomową **encyklopedię powszechną**, która zacznie ukazywać się w połowie br. w zeszytach. Będzie to nasza pierwsza po wojnie encyklopedia bardzo wprawdzie szczupła, ale bardzo potrzebna i bardzo pożyteczna w okresie szybkiego awansu społecznego mas i niedostatków wykształcenia nawet u młodzieży kończącej szkoły średnie. Równie doniosłym wydawnictwem będzie **Słownik Geograficzny Rzeczypospolitej Polskiej** w 2 tomach. Osobny cykl wydawnictw nosi tytuł **„Dwa wieki myśli polskiej"**. Obejmie on przedruki monografii Smoleńskiego, Ptaśnika, Brücknera (Dzieje kultury polskiej), Tokarza, Smolki, Wojciechowskiego, przekłady dzieł Krzywickiego, Czarnowskiego i Znanieckiego pisanych w językach obcych, oraz wybory pism Konarskiego, Stefana Czarnowskiego, Kazimierza Kelles-Krauza, Wł. Spasowicza, Wacława Nałkowskiego, Henryka Kamieńskiego, Al. Świętochowskiego i szeregu innych wybitnych myślicieli i uczonych. Dział pism wybranych zaprojektowany jest bardzo obszernie. Na rok 1949 obejmuje on pisarzy od Staszica do Abramowskiego. Serię tę uzupełnią antologie ujmowane tematycznie lub obejmujące pisarzy pewnych grup społecznych.

Inny cykl objęty tytułem **„Plutarch polski"** przyniesie powieści biograficzne o wybitnych Polakach. W druku znajdują się powieści o Chopinie (Iwaszkiewicz), ks. Ściegiennym, J. Sułkowskim, całość cyklu obejmuje dotychczas 32 pozycje. Przy puszczać należy, że nie będą to powieści biograficzne w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz raczej życiorysy literackie.

Stulecie Wiosny Ludów znajdzie odbicie w pięciotomowym dziele zbiorowym, którego redakcję objęła prof N. Gąsiorowska (Wiosna Ludów na ziemiach polskich, Wiosna Ludów w Europie, Sprawa polska w Europie, Sylwetki działaczy, antologia). Duże również znaczenie mieć będzie przynoszący nowy materiał i przypomina jący rzeczy zapomniane lub niedostępne cykl „Źródła i materiały do historii ruchów społecznych i politychnych w Polsce". Dalej przewidu je PIW bibliotekę dokumentacyjną dotyczącą spraw najnowszych, biblio tekę przekładów wybitnych dzieł z dziedziny historii, polityki i nauk społeczno-ekonomicznych.

Nowością i pozycją, na którą dawno już czekamy, będzie **biblioteka teatralna**, na której czele stoi Leon Schiller. Obejmie ona cykl opracowań popularnych oraz dzieła poważniejsze oryginalne i tłumaczone (Stanisławski, Wojciech Bogusławski Wład. Bogusławski, zbiorowe „Teatr w Polsce współczesnej", Późniaka Historię opery, J. Baaba „Teatr współczesności", dzieła poświęcone technice teatralnej kostiumologii itp.).

W ramach edycji **klasyków polskich** PIW przygotowuje pod redakcją prof. J. Krzyżanowskiego zbiorowe wydanie dzieł **Sienkiewicza** w 60 tomach, oraz czternastotomowe wydanie **Wyspiańskiego** pod redakcją prof. Leona Płoszewskiego.

W dziale powieści polskiej i obcej plany przedstawiają się skromniej, gdyż PIW został tu wyprzedzony przez inne wydawnictwa. Nie mniej i ta dziedzina planów wydawniczych obejmuje wiele wybitnych pozycji, a są to przeważnie pozycje zbyt mało u nas znane i dawno niedostępne, często nawet nieznane w polskich przekładach w ogóle.

Realizacja tych planów (oby tylko szybka i systematyczna) wpłynie poważnie na polski rynek wydawniczy. Oczekujemy przy tym, że poziom tej realizacji będzie pod każdym względem wysoki, oraz że państwo nie będzie chciało zarabiać na swoich wydawnictwach, że pokaże nam możliwie niską kalkulację książki. Oczekujemy od PIW-u książki dobrej, pięknej i możliwie taniej.

Zdzisław Hierowski

Debiut śląski

RYSZARD JĘDRASZCZYK

Przemarsz

Myśli z nas szydzą
a tylko prawda bolesna pozostaje.

Myślałem
że pójdą w świętości aureoli
— a mieli tylko głowy ogolone.

Myślałem
że ciała ich
wybrane dla cudu
niezliczonymi dniami postu
wzlecą w niebo zasłużone
— ale ich ciała tęskniły do ziemi.

Drogi zatrzymają stygmaty męczeńskich stóp
chrobotanie ich krtani ucieleśni
powietrze wiecznie kołującym dźwiękiem
— myślałem —

Ale niebo zmyło bruki
i dla powietrza było niełaskawe.

Bluźniercze słowo narodzone
w mojej bolejącej piersi
już miało pozostawić me myśli
wiecznie na ziemi:

...i znów wierzę.

Nasza dyskusja

EGON NAGANOWSKI

Złudzenia i fakty

PRZYPUSZCZAM, że nie będę daleki od prawdy, jeżeli stwierdzę, że polska publicystyka niemcoznawcza mało dotychczas poświęciła uwagi rzeczom zasadniczym. Mnożymy fakty, dajemy coraz to nowe, niejednokroć cenne przyczynki oświetlające takie czy inne zagadnienia częściowe, mamy doskonałą kronikę kulturalną Niemiec w „Odrze" („Co robią Niemcy"), ale ostatecznych wniosków przeważnie wyciągać nie chcemy, czy też nie umiemy i dlatego nie docieramy do istoty problemu. A póki to się nie stanie, nie możemy też spełnić naszego najważniejszego zadania, polegającego na wypracowaniu pewnych teoretycznych wskazań dla praktycznego ukształtowania stosunków polsko-niemieckich w bliższej czy dalszej przyszłości.

Robiąc przegląd naprawdę poważnej publicystyki zajmującej się Niemcami natrafiamy na szczupłą liczbę wciąż powtarzających się tych samych nazwisk wśród których wybija się na pierwszy plan Edmund Osmańczyk. Poza Osmańczykiem, odznaczającym się jasną, oryginalną i konsekwentną linią myślową nie ma prawie nikogo, ktoby posiadał ambicję ogarnięcia całokształtu problemu niemieckiego, spojrzenia nań z nieco szerszego punktu widzenia. Ambicję taką wykazał bodajże tylko jeszcze Konstanty Grzybowski (mam na myśli artykuł pt. „Problem niemiecki" umieszczony w „Kuźnicy" nr 1/2 ze stycznia br.) oraz Ryszard Matuszewski, pisząc — zresztą dorywczo — o Niemcach w Odrodzeniu" („W poszukiwaniu 10 sprawiedliwych" 19. 10. 1947 i „Edmundowi Osmańczykowi w sprawie niemieckiej parę słów odpowiedzi" 11. 4. br.). Oto chyba i wszystko, co w tym wypadku można brać pod uwagę. Jedno jest tylko pocieszające, a mianowicie, że wymienieni autorzy przynajmniej reprezentują dwa różne poglądy, że dają się zauważyć zaczątki dyskusji, która oby się rozwinęła jak najżywiej.

Matuszewski contra Osmańczyk czyli kto jest realistą

KONTROWERSJA Osmańczyk — Matuszewski sprowadza się w ogólnych zarysach do kwestii postępowania z Niemcami, uzależnionej od wiary czy niewiary w możliwość ich przeobrażenia, co z kolei i z konieczności wiąże się z zagadnieniem niemieckiego charakteru narodowego.

Zacznijmy od Osmańczyka. („Jasno i otwarcie o sprawie niemieckiej" Odrodzenie 1. 2. br., „Czujność jest wskazana" Odrodzenie 21. 3. br. i „Rodowód hitleryzmu" Odra 4. 4. br.) Jest on zwolennikiem stosowania wobec Niemców polityki przeciw nim skierowanej, polityki osłabiania przy równoczesnym wzmacnianiu sąsiadów z Polską na czele, a to dlatego, że nie widząc dziś w pokonanych szczerej a tym mniej powszechnej gotowości do poprawy, nie łudzi się, by mogła ona nastąpić rychło i niejako automatycznie dzięki zmianie form ustrojowych. Zdaniem Osmańczyka doświadczenia historii uczą nas, że dotąd każdy nawet najbardziej rewolucyjny i postępowy z pozoru ruch w Niemczech ulegał prędzej czy później wykoślawieniu przez ładunek nacjonalizmu, który „wżarł się w umysły Niemców stuleciami" i że wobec tego musi chodzić przede wszystkim o uzdrowienie moralne bez którego najlepszy ustrój nie będzie miał znaczenia. Jedyną terapią rokującą u Niemców powodzenie, to metoda psychicznego wstrząsu. „Skoro Niemcy — czytamy — sami nie chcą się zmienić, to trzeba zmusić ich do tej zmiany, mimo budzenia przez to wśród nich ducha oporu".

Zdając sobie sprawę z całej trudności doprowadzenia skomplikowanej kuracji do szczęśliwego końca, Osmańczyk wierzy jednak, lepiej powiedziawszy chciałby wierzyć w jej powodzenie. Z drugiej bowiem strony w „Sprawach Polaków" był zdania, że Niemcy wraz ze swymi groźnymi wadami, wspieranymi przez groźniejsze jeszcze zalety pozostaną zawsze Niemcami. Nie wyklucza to oczywiście możliwości sprowadzenia Niemców na lepsze drogi — szczególnie przy odpowiednim rozkładzie sił. „Niemcy są trzeźwym narodem — pisał Osmańczyk w „Sprawach Polaków" i obecnie znów przytacza — Nigdy nie uderzają na silnych. Niemcy są posłusznym, wartościowym narodem — wśród silnych, barbarzyńcami są wśród słabych".

Trzeba jeszcze nadmienić, że Osmańczyk nie zamyka oczu na wysiłki „garści uczciwych demokratów niemieckich" i że ocenia bezwzględnie pozytywnie metody stosowane przez sowieckie władze okupacyjne we wschodnich Niemczech, w przeciwieństwie do szkodliwej nieodpowiedzialnej polityki anglosaskiej, szczególnie amerykańskiej na zachodzie. „Lecz cóż z tego?... W Niemczech wschodnich żyje 18 milionów, w Niemczech zachodnich 46!" A więc: „Nie wolno się okłamywać. Nie wolno cząstki utożsamiać z całością". Tym bardziej że „podział Niemiec przerzuca pozornie podział ideologiczny mocarstw na naród niemiecki. Lecz podział na czarne i białe, czy, jak kto woli, na czarne i czerwone, odnosić się może tylko do okupantów... Niemcy jako naród jeszcze tak się nie dzielą".

Zupełnie inaczej stawia rzecz Matuszewski. Opierając się na obserwacjach poczynionych podczas tygodniowej bytności w sowieckiej strefie okupacyjnej, na wrażeniach odniesionych z rozmów przeprowadzonych z działaczami Socjalistycznej Partii Jedności (SED), Wolnej Młodzieży Niemieckiej (FDJ) i Związku Kulturalnego dla Demokratycznego Odrodzenia Niemiec, odrzuca z całą stanowczością politykę wrogości w stosunku do narodu niemieckiego i budzenia w nim w ten sposób ducha oporu oraz stawia na społeczne rozładowanie i załatwienie problemu niemieckiego, uwzględniające elementy klasowe a nie kierujące się „ciasno pojętym nacjonalizmem". „Idea socjalizmu i demokracji — pisze — którą reprezentują jednostki walczące konsekwentnie o nowe Niemcy ma, potencjalnie przynajmniej, możliwości rozwoju w całym społeczeństwie niemieckim. Oznacza wiarę, że prędzej czy później da się wychować w Niemczech nowy typ człowieka i pozwoli z zagadnieniem niemieckim skończyć w sposób definitywny. To jest właśnie szeroko rozumiany realizm polityczny". I jeszcze: „Cała owa chytra ideologia „wzmacniania" (Polski i innych sąsiadów Niemiec — przyp. mój) i „osłabiania" (Niemiec), wygrywania jednych przeciwko drugim wydaje mi się w ogóle bardzo krótkowzroczna. Podobną metodę stosował właśnie faszyzm. To ideologia niewiary w człowieka i pesymizmu".

W podobny ton uderza Grzybowski. Dla niego teza, że Niemcy są i pozostaną zawsze barbarzyńkimi mniej lub więcej Niemcami, jest typowo faszystowskim mitem, takim samym, jak hitlerowski mit o niższych, niegermańskich rasach.

„Rzeczywistością jest — przyznaje — odmienna struktura psychologiczno-socjalna Niemiec, czyniąca z nich wyjątek i groźne niebezpieczeństwo w Europie... Ale mitem jest szukanie wytłumaczenia tego niebezpieczeństwa i tej odmienności w jakichś przyczynach „naturalnych", niezmiennych. Nie „naturalna odmienność" narodu niemieckiego, ale spóźniony jego rozwój, ale odmienność jego rozwoju jest przyczyną, dla której Niemcy są niebezpieczeństwem. A ten spóźniony rozwój ma swe przyczyny historyczne, społeczne, gospodarcze". Jedynie „to wszystko, co dotąd było w Niemczech przedmiotem rządzenia — niemiecki robotnik, w pewnej mierze niemiecki chłop" — budzi nadzieje na przyszłość. „I być może, że wiara w masy niemieckie też się okaże pomyłką, ale jest ona ostatnią możliwą szansą".

Starałem się zapatrywania cytowanych autorów skonfrontować dosyć dokładnie, by potem wystąpiło tym lepiej, co z ich poglądów jest moim zdaniem do przyjęcia, a co nie.

To nie jest rasizm

A więc wprzód sprawa niemieckiej psychiki. Jest to zagadnienie dosyć skomplikowane, ponieważ potrąca o dawny spór psychologów, dotyczący pytania, jakie znaczenie i zasięg należy przypisywać wrodzonym i nabytym cechom charakteru ludzkiego i co za tym idzie które z tych cech można zmienić przez odpowiednie wychowanie czy warunki. W każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że o ile cechy nabyte mogą zostać wymazane, o tyle tzw. wrodzone dają się najwyżej osłabić względnie wzmocnić, wysublimować, względnie pełniej rozwinąć — i nic więcej.

W wypadku narodu, a więc organizmu, który na podstawie dokumentów możemy obserwować na przestrzeni setek lub tysięcy lat, wolno przyjąć, że rolę cech wrodzonych odgrywają tu właściwości nabyte w zmierzchłych czasach.

Właściwości te, jeżeli są przekazywane z pokolenia na pokolenie i dochowały się do dziś, są dla nas właśnie tym, co stale różni dany naród od wszystkich innych. Jedne narody mają tych cech wyróżniających mniej, drugie więcej, ale żaden nie jest ich pozbawiony. Stwierdzenie tego oczywistego faktu i wyciągnięcie zeń wniosków nie ma, rzecz prosta, nic wspólnego z hitlerowskim rasizmem. Bo gdyby na to w ten sposób patrzeć, doszlibyśmy do absurdu. Wśród ludzi żyjących w tych samych warunkach społecznch i ekonomicznych spotykamy dobrych i złych, mądrych i głupich, pracowitych i leniwych. I podobnie jest z narodami. Wszelkie dane, od gospodarczych do ustrojowych mogą je do siebie zbliżać, a jednak pewne różnice zachodzące między nimi nie przestaną przez to istnieć.

Jeżeli chodzi o naród niemiecki to jedynie doktrynerzy mogą utrzymywać, że nie odznacza się on jako całość pewnymi stałymi cechami, przewijającymi się jak czerwona nić przez plątaninę dotychczasowych dziejów. Są wśród tego oczywiście zalety i wady oraz takie zestawienia jak zalety na usługach wad i wady osłabiane przez zalety — zależnie od chwilowych koniunktur. Wiele o tym i w samych Niemczech pisano, wiele o tym pisze się tam również dziś. Nieliczni uczciwi Niemcy starają się unaocznić wady oczywiste i zdemaskować zakonspirowane, nieuczciwi ukrywają je pod „zapoznanymi" przez świat zaletami. Jedni i drudzy mówią o niemieckim charakterze narodowym jako o czymś wyraźnie zarysowanym przynajmniej od wieków, o czymś dziwnie odpornym na oddziaływanie przemian historii.

Najgłębsze źródła

WŚRÓD rzetelnych myślicieli niemieckich, starających się generalnie zrewidować narodowy charakter najciekawszy jest, moim zdaniem, w ojczyźnie swej przemilczany (nie znalazłem ani jednej recenzji) i zupełnie za granicą nieznany Hans Windisch, autor dwóch obszernych dzieł p. „Fuehrer und Verfuehrte" („Wódz i uwiedzeni", Heering-Verlag, Seebruck a. Chiemsee, 1946) i „Genius und Daemon" („Geniusz i demon") w tym samym wydawnictwie. 1947).

Powiada gdzieś Voltaire, że „Francuzi posiadają swój kraj, Anglicy morze, a Niemcy chmury". Są wybiegającymi w dal fantastami, nie umieją się zadowolić tym, co jest, zawsze pragną czegoś więcej. Windisch uważa tę cechę za dominantę niemieckiego charakteru narodowego. Nazywa ją „Wille zum Grenzenlosen" (Wola nieskończoności), która dając się zauważyć od czasów wędrówki ludów, najjaskrawsze swe oblicze myślowe znalazła w niemieckim romantyźmie, a swe najpełniejsze wcielenie praktyczne w hitleryźmie. Tego rodzaju skłonność pociąga oczywiście za sobą zupełnie fałszywy stosunek do rzeczywistości, z istoty swej oparty na wybalansowanych proporcjach, mieszczącej się w ograniczonych ramach. Niemcy ramy te usiłują ciągle rozsadzać, a gdy się im to nie udaje mają pretensje do całego świata, czują się pokrzywdzeni i upośledzeni. Mówią wtedy o złym losie, który czynią też odpowiedzialnym za popełnione winy, w ich oczach tragiczne, bo się do nich nie poczuwają.

Niezaspokojony pęd do rozprzestrzeniania się rodzi w konsekwencji zachłanną wolę mocy, przeczącą zdrowemu rozsądkowi. Miejsce trzeźwej myśli zajmują utopijne rojenia. Niemcy zawsze szli dotąd za nęcącymi w dal prorokami i wodzami, oddając pierwszeństwo wierze przed poznaniem świata, pierwszeństwo światu, który był ich wyobrażeniem przed należytym wyobrażeniem o świecie. Uważają się od niepamiętnych czasów za wartościowszych i głębszych od innych narodów. Dla usprawiedliwienia swego egoizmu i egocentryzmu wynaleźli w ciągu wieków wiele pięknie brzmiących patetycznych formułek, o których słuszności są święcie przekonani. Zawsze i wszędzie chcą mieć rację, niezdolność do obiektywizmu nie stwarza przesłanek dla poszanowania cudzego zdania. Obawę przed krytyką i niedocenieniem kompensują butą, nie znosząc pouczeń, ciągle pragną innych pouczać i uszczęśliwiać wbrew ich woli.

Skłonność do ekstatycznej i drapieżnej fantastyki w sferze politycznej godzą Niemcy w paradoksalny pozornie sposób z trzeźwością i logicznością w swych zawodach naukowców, techników, kupców, rzemieślników itp. Jako fachowcy kalkulują rozsądnie i liczą się drobiazgowo z rzeczywistością, ale wszedłszy poza swoją specjalność wykazują naiwność i prymitywność dzikusów lub dzieci, z którymi można — gdy się umie — zrobić co się chce. Szczególnie gdy im pokazać symbole teatralnego heroizmu i błyszczące mundury oraz „wielkiego" człowieka, fachowca od realizacji narodowych ambicji. Wtedy też poszczególny Niemiec, odznaczający się często w życiu prywatnym i zawodowym uczciwością i sumiennością, sentymentalną czułością dla rodziny, dzieci i zwierząt, pójdzie bez zmrużenia powiek „sumienie" mordować cywilną ludność przeciwnika, będzie kradł i rabował, będzie niszczył te same dzieła sztuki, które zwiedzał jeszcze niedawno pełen nabożnego zachwytu. Z masochistyczną gotowością utonie w masie, zrezygnuje z czci i godności, pozwoli się deptać i uśmiercać, biorąc zbiorową psychozę nacjonalistycznego szału za stan przynoszący zaszczyt jego człowieczeństwu. Bezmyślna uległość i plastyczność na wewnątrz, przemyślny sadyzm, twardość i buta na zewnątrz, oto cechy które czyniły i czynią Niemca szczególnie niebezpiecznym. Jest to niezdolność do wolności, kompensowana niewoleniem innych, niezdolność do demokracji, rodząca nienawiść i pogardę względem demokracji w ogóle.

Mity i bajki

NA tym, co dotychczas powiedzieliśmy (a co u Windischa jest w aforystycznych ujęciach trochę bezładnie rozsiane na przeszło 500 stronach), opierają się też takie odwieczne mity niemieckie, jak mit o specjalnej misji w świecie, o wyższości „prawdziwych" wojowników, chrześcijan, filozofów, poetów, „Kulturtraegerów", cywilizatorów, aryjczyków, „panów" niemieckich, nad przedstawicielami innych narodów, mit o „nieprześcignionej" rzetelności, solidności, zdolności organizacyjnej, wynalazczości, pilności, wytrwałości itd. itd. niemieckiego człowieka, uprawnionego wobec tego w całej pełni do patrzenia z góry na „gorsze" rasy, szczególnie na „nieuczciwych", „niesolidnych", „bałaganiastych", „nieproduktywnych", „leniwych" i niewytrwałych" Słowian.

Powyższe mity, wytwór niemieckiej psychiki (a nie odwrotnie) zostały wprawdzie usystematyzowane i w pełni rozwinięte przez myślicieli niemieckich XIX i XX wieku, a więc w epoce narastającego imperializmu i szowinizmu, epoce „podboju" całego kraju przez wojujące junkersko-przemysłowo-burżuazyjne prusactwo, ale pod inną, okresami łagodniejszą, okresami podobną formą istniały już zawsze W każdym razie od czasów, gdy starożytni Rzymianie wypowiadali swe znane opinie o Germanach. To stwierdzenie, które nie trudno udokumentować choćby mimowolnymi świadectwami samych Niemców, począwszy gdzieś od Pieśni Nibelungów czy Adama Bremeńskiego, każe się trochę głębiej zastanowić nad sposobem postępowania z Niemcami w dobie dzisiejszej, niż to czynią Matuszewski i Grzybowski.

Powiązanie niemieckiego barbarzyństwa z uciskiem niemieckiej klasy robotniczej, z wyzyskiem ekonomicznym czy rozwojem nowoczesnego kapitału monopolistycznego, wydaje się tu jako wy-

(Dokończenie na str. 4)

Ambasadorzy polskości

(Dokończenie ze str. 1)

to wykluczone. W kilku wsiach, gdy już wygasły ogniska, tęskniono za harcerkami, opiekunkami drobiazgu „autochtonicznego", wyręczycielkami wynędzniałych kobiet, opatrzycielkami ropiejących ran. O PWK (Przysposobienie Wojskowe Kobiet) opowiadano szeroko w okolicach Piasutna, gdzie indziej trwałą wdzięczność zdobyli dorośli wczasowicze. Dopiero po rozstaniu okazywało się, ile dobrego zdziałano i ile zmieniono na pomorsko-mazowieckiej ziemi.

— Polskie „hitlerjungi" przyjechały — witano omal wrogo pierwsze zielone mundurki na Warmii i Mazurach. Żegnano je z żalem, niejednokrotnie ze łzami i błogosławieństwem. A taka odmiana umysłów posunęła sprawę narodowego odrodzenia daleko, daleko naprzód.

Dziwne, ale tak jest bez najmniejszej przesady, najdonioślejszym chyba walorem wychowawczym Pomorza Mazowieckiego jest, że stanowi wielki probierz młodych charakterów, a czasem staje się regeneratorem starych. W okolicy Świętej Lipki natrafiamy na tajemnicze odprężenie atmosfery w środowisku tuziemczym, nie tłumaczące się przebiegnięciem dwunastu miesięcy. Dzieciarnia chętnie i biegle mówi tu po polsku, ludność dorosła życzliwiej odnosi się do przybysza niż przed rokiem. Te nagłe zmiany wzięły początek w murach dawnego hotelu pątniczego, sąsiadującego z przepięknym kościołem świętolipskim. Na odpoczynek, dla wytchnienia po pracy przysłała tu „Caritas Academica" Uniwersytetu Łódzkiego kilkadziesiąt studentek i studentów, wybierając Świętą Lipkę pewnie dlatego, że leży na uboczu, daleko od uczęszczanych traktów, aczkolwiek na pielgrzymim i turystycznym szlaku. Nie przewidywano specjalnych zajęć dla wczasowiczów, ot takie sobie normalne czynienie dobra w zasięgu wyciągniętej ręki. Ale zetknięcie z nędzą mazurską nie może nie poruszyć naprawdę po ludzku czującego serca. Samorzutnie, zrazu pojedynczo, potem coraz to liczniej poczęli się porywać na nią łódzcy „caritasowcy". Zaczął niepozorny jezuicki kleryk, któremu spokoju nie dawały wynędzniałe dzieci. Poszło o pacierz, który mówiły po niemiecku. Po prostu zmartwił się kleryczyna i postanowił złu zaradzić. W drodze wymiany umiejętności uczył się od dzieci niemieckich piosenek i wierszyków szkolnych, w zamian nauczając polskich, za „Vater unser" wymieniał „Ojcze nasz". Gdy zażyłość umocniła się na dobre, przyszło przerażające odkrycie. Świętolipska dzieciarnia równie jak strawy dla ducha, bodajże więcej niż strawy dla ducha, potrzebuje codziennego chleba.

Nie mówiąc nikomu, chuderlawy studencik duchowny wypowiedział wojnę dziecięcemu głodowi. Wyszedł pewnego rana z workiem na plecach i począł obchodzić sąsiednie wsie, co zamożniejsze gospodarstwa i państwowe majątki. Otwierał oczy, niepokoił sumienia. W Świętej Lipce zadymiła niebawem kuchnia, przyrządzająca dla dzieci skromne posiłki. Otwarto dla nich coś w rodzaju świetlicy. Młody kleryk uwijał się coraz raźniej po okolicy. Okazało się, że ludzie nie są tacy źli, jakby się zdawało na pierwszy rzut oka. Ktoś dał bezimiennie 10.000 zł, okoliczne młyny dostarczyły mąki, majątki pospieszyły również z wydatną pomocą. Dobroczynne „przedsiębiorstwo" młodego kleryka zaczęło zdradzać wyraźne skłonności do rozrostu. Po jakimś czasie dwie kobiety musiały się zająć kuchnią, a posiłki wydawano już dwa razy dziennie. Sycąc głód studencik duchowny nie pytał ani o narodowość, ani o wyznanie, ani dbał o to jakim językiem proszą go drobne usta o talerz zupy. Chciał nakarmić dziecięcy głód, o resztę nie stał. Jakoś same za sytością przyszły i inne niespodziewane wyniki. Jak różdżką czarodziejską tknięta cała młoda Święta Lipka zaczęła mówić po polsku. Nie napotykała już na domowe opory. Odmieniły się umysły rodziców. Co więcej, wśród polskiego przychówku znalazło się naraz 30% ewangelików. Święta Lipka ocknęła się z ponurego letargu. Nim to jednak nastąpiło, ruszył do pracy cały prawie łódzki „Caritas". Wsparto od razu akcję jezuickiego kleryka, przy sposobności odkryto nowe pole do działania, szczególnie wdzięczne dla kilkorga medyków. Od wsi do wsi wędrowały ekipy medyckie, zbierając obfite żniwo. Gdy przełamały pierwsze lody, praktyka rozrosła się szeroko. „Caritasowcy" odnieśli nowy potężny sukces. Nieufni, zamknięci w czterech domowych ścianach tuziemcy, powoli powychodzili za progi swych domostw. Doznawszy bezinteresownie serca, wywlekli na światło dzienne zastarzałe rany i cierpienia i obnażyli je przed obcymi dotąd polskimi przybyszami. Nauczyli się ufności.

Zdziałano, czego nie była w stanie dokonać żadna inna propaganda. Ożyła przytłumiona od dawna polszczyzna, szkoła i władze otrzymałe mocne pozycje wyjściowe dla stałych zdobyczy. Zawahało się szereg miejscowych „Niemców", dwie rodziny postanowiły wziąć „deklaracje mazurskie".

Widzieliśmy inicjatora tych niezrozumiałych na wstępie zmian. Mówił niechętnie i powściągliwie o swych sukcesach, nie uważając ich zresztą za takie. Niedługo miał wyjechać z Świętej Lipki i martwił się o swoje dzieło. Nie wiedział, czy ktoś na miejscu podejmie dalsze starania. Jego koledzy byli bardziej oszołomieni i przejęci wynikami krótkiej, choć wytężonej pracy.

— Za tymi ludźmi nie wolno agitować inaczej jak tylko dobrym przykładem — wykładał mi gwałtownie jeden z uczestników świętolipskiej dobroczynności. — Tu trzeba pamiętać, że się ma przed sobą cierpiących przeważnie, zawsze żądnych współczucia ludzi. Reszta, jak pan widzi, sama się złoży. Dopóki krzywiliśmy się i wydziwiali nad ich potoczną niemczyzną, boczyli się na naleciałości długowiekowego niemieckiego poddaństwa, między nami a nimi piętrzył się nieprzebyty mur. Dziś rozumiemy dlaczego. Wymagaliśmy za wiele od Mazurów, nie mając po temu najmniejszego prawa. Czy można od dziczki żądać, by rodziła gatunkowe owoce? — pytał namiętnie. — Przecież dla tych ludzi w historii niczegośmy nigdy nie robili, nic w nich nie zainwestowali. Zrozumieliśmy tę prawdę i to jest nasze wielkie zwycięstwo. Teraz nie straszna nam już żadna powierzchowna niemczyzna.

Naprawdę wiele zmieniło się przez rok na Pomorzu Mazowieckim. Na odłogach Puszczy Piskiej spotkaliśmy się raz jeszcze z działaniem probierza serc i sumień. W Rucianach, wzorowym ośrodku wczasowym „Społem", gdzie rok temu doszło do pożałowania godnnych ekscesów na tle religijnym, gdzie między tuziemcami a napływowymi nagromadziło się mrowie wzajemnych żalów i zadrażnień, kilkoro młodych ludzi odkryło w sobie podobne powołanie, co „caritasowscy" w Świętej Lipce. I tu doszło do obłaskawienia zdziczałej pod ciosami ludności mazurskiej. Przekonano ją do Polaków, a symbolem Polski via facti stała się grupa dzielnych ludzi, noszących w piersi gorące serce człowieka.

Pojedynczych, niestety odosobnionych przykładów tego rodzaju pionierskiej działalności dałoby się mnożyć jeszcze wiele. Nie wyczerpują one jednak ogromnych potrzeb regionu mazurskiego i warmińskiego na polu repolonizacji. O ludność tuziemczą tego kraju trzeba nam ciągle jeszcze walczyć sercem i pracą, bo tak tylko można ją przekonać o serdecznej trosce o nią, współczuciu i wspólnym braterstwie. Szybkimi krokami nadchodzą letnie miesiące. Miłośnicy Pomorza Mazowieckiego z głębi „starego" kraju kalkulują już dzisiaj ilu i jakimi zmianami powita ich tym razem ziemia „tysiąca jezior" i w rachunku prawdopodobieństwa znajdują zaródź przyszłych wzruszeń. Na północy na pewno zmieniło się znowu wielu na licznych tam polach naszego działania. Jedno jest wszakże pewne i to zaciemnia radość wyliczeń. Jedna dziedzina życia Pomorza Mazowieckiego i tym razem czekać będzie niby Winnica Pańska na mrowie robotników: dzieło zbratania odzyskujących i odzyskanych, trud przełamywania lodów. Dobroczynny wkład młodzieży, któremu obca dotąd była biurokracja, formalne papierki, registratory i znaczki stemplowe, posunie znowu naprzód tę bolesną sprawę, pomnoży się liczba drogowskazów i wzorów, którędy i jak trafiać do odzyskanych serc. Ale mimo to pole społecznych prac będzie tam puste, jeśli za młodymi nie pójdą w ślady starsi naśladowcy, jeżeli dla polskości mazurskiej i warmińskiej nie zabiją zgodnym rytmem wszystkie przelotne i zasiedziałe serca. Tam na odzyskanej północy w tuziemczych domach i chatach pojęcie „Polska" nie kojarzy się jeszcze z żadnym uchwytnym wyobrażeniem. Tyle o niej wiadomo, że jest inna, niż w niemieckich uproszczeniach do najczarniejszego z diabelskich wymysłów. Pojęcie „Polska" trzeba tam, niby konturowy rysunek, wypełnić barwami i treścią, podać do wierzenia. Nawet w najmocniejszym w teoretycznej znajomości spraw ojczystych środowisku tuziemczym, w uniwersytetach ludowych Rudzisk i Jurkowego Młyna, Polska i Polacy są istotami bez ciała, jako że modele, zademonstrowane w wybrakowanym wydaniu A. D. 1945 i następnych odrzucają stęsknione najpiękniejszej z ojczyzn tuziemcze serca. Przed zeszłorocznym wyjazdem na odkrywanie „starego" kraju przez kursistów Boenigka i Małłka potrzeba doświadczenia zmysłami odzyskanej macierzy wyraziła się w pełnych wymowy zwierzeniach, które brzmią jak gotowy program:

„Byliśmy bardzo ciekawi zobaczyć w innych stronach naród polski i dowiedzieć się, jak oni będą się do nas odnosić, czy tak samo jak tutejsi Polacy, którzy przybyli z centralnej Polski?" — pisała warmińska i mazurska młodzież. — „A do tej ciekawości dołączyła się obawa, jaki będzie stosunek tamtejszej ludności do nas. Czy będą nas uważali za p e ł n y c h ludzi, czy też może kontakt z nami będzie zły?"

To mówi za siebie. Repolonizacja, wchłanianie środowiska autochtonicznego przez nasz organizm narodowy i państwowy odbywa się wprawdzie na wielu, różnorodnych płaszczyznach, jedna wszakże pozostaje szczególnie ważna i brzemienna, co więcej dostępna do działania dla każdego przybysza: objawianie prawdziwego oblicza Polski przez tych, którzy ją znają, tym którzy go wyglądają i kształtowanie tuziemczych poglądów na wspólną ojczyznę. Tego lata ciągle jeszcze wakować będą na Pomorzu Mazowieckim tysiące i dziesiątki tysięcy ambasadorskich stanowisk, dostępnych każdemu człowiekowi dobrej woli. Godność ambasadorów polskości stoi tam bowiem ciągle równie dostępna, jak rok temu, gdy sięgnęła po nią zapalna ku czynieniu dobrze młodzież.

Stefan Sulima

WŁADYSŁAW DUNAROWSKI

Świat szerokiego nieba

Jacek wracał z Namysłowa już południowym pociągiem. Z podatkiem nic nie wskórał, a mimo to był w niezłym humorze. Właśnie dowiedział się w urzędzie, że do gminy przyszła lista osadników, którzy w najbliższych dniach otrzymają akt własności. I że na tej liście on również figuruje. Z tej radości nie mógł dłużej zostać w Namysłowie, tak go gnało do wsi, aby rozpowiedzieć wszystkim pomyślną nowinę. Nareszcie skończy się owa denerwująca niepewność.

W oknie mijają gładkie pola, czasem kępką drzew naznaczone, to znów laskiem przecięte, szosą w aleję drzew wetkniętą... tam wioska z białą wieżą kościelną na wzniesieniu... Wszędzie ludzie. Może trochę za mało tych ludzi, może nikną na tle wielkich przestrzeni, maleją, ale są. A co najważniejsze — jest ich praca, ogarniająca te słoneczne przestrzenie, praca niemała, o czym świadczą te uprawne pola, skoszone łąki i tam na horyzoncie dymiące kominy. Jakże odmienny obraz od tego sprzed dwóch lat, oglądanego po raz pierwszy z okien wagonu, wiozącego pierwszych osadników, pierwszych śmiałków, którzy uwierzyli w cuda nowej ziemi. Niby to samo, a przecież nie to samo. Bo wtedy było tutaj pusto i głucho, a dziś jest życie.

W wagonie parę osób, prawie wszyscy znani. Jedynie ten chłop, siedzący naprzeciw... Kto to jest? Wydaje się Jackowi znany, kiedyś musiał mieć z nim jakąś styczność, ale jak sobie przypomnieć: kiedy to było? gdzie?

Siedzą naprzeciw siebie, każdy zajęty czym innym. Jacek zasłania się gazetą, udaje zaczytanego. Nagle spotkali się wzrokiem, lecz tylko na krótką chwilę, bo zaraz Kurier Wrocławski podskoczył do góry. Jednak oczy sąsiada zostały między liniami czarnych czcionek. Zaraz... zaraz... Ktoś w Jasnocie miał podobne spojrzenie... W Jasnocie?

Nieznajomy zaczyna rozmowę z sąsiadami, których lektura nie odgrodziła jeszcze od świata. Z rozmowy wynika niedwuznacznie, że jest przyjezdnym. Padają słowa: u nas, u was, u nas teraz to i tamto. Wreszcie: Toporzysko.

Jacek nie wytrzymał, rzucił gazetę, zerwał się z ławki.

— Znacie Toporzysko? Które Toporzysko? Czy to koło Jasnoty? Tej Jasnoty w powiecie..

— To samo.

— A wyście skąd? Z Toporzyska? To pewnie znacie ludzi z Jasnoty?

— Nawet dobrze znam. Lepiej nie trzeba... Nawet ja sam jestem z tej wsi.

Jacek nie może ukryć zdumienia.

— Wyście z Jasnoty? Nie mówcie. Może brat Grysika Michała? Tak mi się coś wydaje.

— Brat. A tyś mi na Jacka Piegzę podobny...

— Poznajecie?

— Poznaję, ino żeś wyrósł przez te dwa lata... i przez to jakbym się trochę wagował. Ale tak-tom zaraz poznał.

Jacek w śmiech.

— No, wiecie, wiecie... swoje chłopy, a nie mogą się poznać od razu. Z jednej wsi... Wstyd i obraza boska. Co tam w Jasnocie? Żeni się tam kto, żeby na wesele zaprosił? Mam zamiar pojechać kiedyś...

Wzajemne dopytywania przecina gwizd pociągu, zbliżającego się do końcowej stacji. Właśnie Jacek pokazuje szeroki pas ziemi.

— To jest moje pole. Od tej łąki aż po lasek... widzicie?

Tamten kiwa głową z uznaniem i podziwem.

— Hm, ładny kawałek, ładny... Jak widzę, wykierowałeś się na nie byle jakiego gazdę, oho. Od lasku aż po tę łąkę... mocny Boże!

Zachwyty człowieka z tamtych stron napełniają Jacka uczuciem radości i dumy. Przecież Grysiki — to nie byle kto! Średniacy tylko, ale w Jasnocie przeważają tacy na sześciu, ośmiu morgach.

— U nas — Jacek to słowo wymawia z naciskiem — u nas prawie wszyscy mają w tym gatunku. Tak, u nas jest pola dosyć. O ta łąka jest mojej matki. Lecz nie mieniałbym się za moją. Roboty dużo, ale robota nie ciężka. Prawie w każdym gospodarstwie są maszyny, a jeśli komu brakuje jakiej, pożycza od sąsiada lub w ośrodku maszynowym, który jest przy gminnej spółdzielni. Tak to, widzicie, u nas mordęgi nie ma, a chleba dosyć.

Słowo „u nas" powtarza się bardzo często. Słowem tym Jacek się delektuje jak rodzynkiem w wielkanocnym ciaście . To słowo nabiera coraz szerszego znaczenia. Jackowe „u nas" znaczy już nie tylko jego gospodarkę, jego wieś, ale rozciąga się daleko poza widnokrąg szerokiego nieba. Przybyły musi więc wysłuchać, jak to „u nas" w Namysłowie, „u nas" w Oleśnicy, we Wrocławiu, Opolu...

Wysiadają razem. Okazuje się, że Grysik przyjechał tutaj po zakup siana i słomy. Tegoroczna susza narobiła im dużo szkody. Trawę wypaliło zupełnie, zboże miejscami. Więc Jasnota wydelegowała go tutaj po paszę dla bydła. Inaczej nikt bydła przez zimę nie przechowa. Jakie szczęście, że tutaj są takie łąki, którym spiekota nie dała się we znaki. A no, teren niski, od Odry ciągnie wilgoć...

Jacek bagatelizuje te sprawy.

— Co tam słoma czy nawet siano!... U nas dostaniecie każdą ilość. Słomę za pół darmo. Co nam po słomie? U nas krowy słomy nie jadają, bo siana mają dosyć. O ilu wagonach myślicie? O, to mój dom! Wstąpicie chyba. Walerka się ucieszy, gdy zobaczy gościa z Jasnoty. Wasz krewny mieszka na końcu wsi, potem was zaprowadzę. Z drogi trzeba się obmyć, odpocząć.

Po obiedzie Jacek oprowadza gościa po swym obejściu, pokazuje inwentarz, narzędzia rolnicze, przekręca kontakty elektryczne, przedkłada swoje plany na przyszłość. Gość tylko kiwa głową. Mówić? Co tu mówić? Wszystko jest widoczne, wiadome i jasne. Tak jasne, jak ta ziemia, szeroką przestrzenią nieba prześwietlona.

— Może zostaniecie u nas? — pyta się Jacek. — Dwór jeszcze jest do parcelacji. Dobra ziemia.

— Mnie już nie trzeba przesiedleń. Mnie czeka jedynie to ostatnie, no, tam pod lipy...

I żali się, bo rodzina mu się rozleciała po świecie, został syn, a ten gruntu nie chce. Uparł się do szkół. Jemu staremu aż nadto tego, co ma. Przyjechał tutaj trochę z ciekawości, chcąc się przekonać, czy to prawda, co w gazetach piszą o tej nowej ziemi, czym ludzie się chwalą w listach. Siły mu dopisują, więc ciekawość zaspokoi i swojakom ważną sprawę załatwi.

Znowu znaleźli się w izbie. Walerka kąpie dziecko i woła, żeby zamykać drzwi, żeby nie robić wiatru. Gość przystanął nad wawienką.

— Wiesz, Jacek, co ci powiem? Z tego, coś mi pokazał, na pierwszym miejscu jest twój syn. Urodny chłopak! Przyda ci się, bo na tylim gruncie ludzi potrza. Tak, tak... To już osadnik, nie przybysz z zapadłej Jasnoty, ale tutejszy, rodowity Ślązak. Osadnik z najwyższych rozkazów, najbardziej celowych przeznaczeń. Piękne dziecko! Niechże ci się chowa jak najlepiej!

Jacek czuje się niewyraźnie. Czyżby istotnie jego syn zasługiwał na tyle pochwał? Właściwie to byłby już czas, aby ojciec przyjrzał się swemu synowi. No, tak, tak... bardzo ciekawie wygląda z tą rączką, wepchaną do buzi.

— No, idziemy we wieś za tym sianem!

Wieczorem po raz pierwszy wziął Jacek dziecko na ręce i, chodząc po kuchni, przyśpiewywał.

— Hop, hop! synuś mój, mój... hop! Co to? Co ci się nie podoba? Czy tata źle bawi? Hop! hop! A synuś nie wie, że tata dostał pieniądze za siano... że za nie kupi ładne buciki dla mamy... A to co? E, ba synuś! Jak można tak...

Szybko położył dziecko w kołysce. Walerka w głos się roześmiała, widząc nieprzewidziane skutki zabawy ojca z synem.

— Jeżeli nie masz się z czego śmiać, jak tylko z tego... Żebym nie zapomniał... W środę pojedziemy do Opola. Wokoło mówią, że tam najtaniej można kupić buty. Chyba wiesz, że w starych nie bardzo możesz pokazywać się między ludźmi.

Walerka próbuje się z lekka opierać. Bo tyle jest innych wydatków, a jej buty chyba nie najpilniejsze. Lecz Jacek nie da się przegadać. Pojadą w środę do Opola i nie ma o czym mówić. Właśnie, że buty najpilniejsze. Czy nie wie, że we wsi szykuje się wesele? A do tego — wesele w rodzinie?

— Co ty opowiadasz? czyje? — zaciekawiła się Walerka.

— Pietrek się żeni. Z tą Dorotą.

— Nie pleć... Pietrek z Niemką? Czy nie ma naszych dziewcząt? Chyba na głowę upadł!

— Mówiłem mu to samo. Wiesz, co mi odpowiedział? Że Dorota lepiej po polsku mówi niż on, że cała jej rodzina zweryfikowana, że gospodarkę im oddali, więc nie widzi żadnych przeszkód. Zaś Dorota od początku mu się podobała.

— Od początku? Sama byłam świadkiem, jak się od niej na ulicy odwracał. A do mnie mówił wtedy, że patrzeć nie może na tę Niemczurę.

— Ja też widziałem. Odwracał się, ale gdy przeszła, oglądał się za nią. Trzeba znać Pietrka. Wesele pewne, obie strony się godzą.

Walerka nie przestaje się dziwować.

— Jaki ten świat dziwny! Sama byłam świadkiem...

Po chwili dodaje:

— Wydaje mi się, że z Pietrka będzie dobry chłop i dobry gospodarz. To niby twój stryjeczny brat, więc od wesela się nie wymówimy. Wolałabym jednak, żeby z weselem zaczekał do przyszłego roku.

Władysław Dunarowski

ROZMOWY z pisarzami szczecińskimi

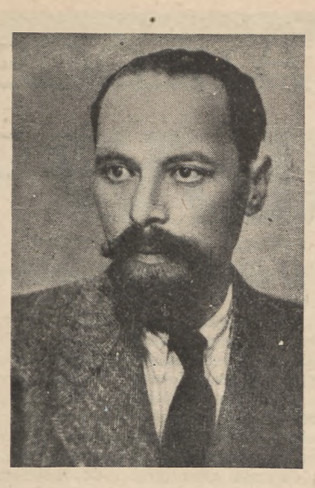

JULIAN BORZYM. Po ukończeniu dwóch dramatów pt. „IMIENINY" i „PREMIERA" zakwalifikowanych pozytywnie przez Komisję Repertuarową Departamentu Teatru pracuje nad nową sztuką pt. „NA POGRANICZU". Jedną z jego sztuk, mianowicie „Premierę" zamierza wystawić Teatr Polski w Szczecinie.

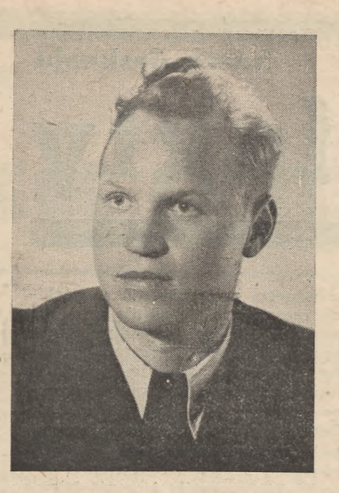

TYMOTEUSZ KARPOWICZ, młody poeta szczeciński, wydał w Szczecinie w r. 1947 zbiór opowiadań p. t. „LEGENDY POMORSKIE". Przygotował do druku tom wierszy pt. „ŻYWE WYMIARY" Karpowicz jest członkiem Śląskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich.

WALERIAN LACHNITT, publicysta i krytyk. Wydał w Szczecinie w r. 1947 zbiór felietonów z dziejów Pomorza Zachodniego pt. „POD ZNAKIEM GRYFA". Cykl jego reportaży literckich o Pomorzu Zachodnim ukaże się w opracowanej przez Instytut Zachodni monografii o Pomorzu Zachodnim.

JAN PAPUGA, autor wydanych w r. 1946 „SZCZURÓW MORSKICH" opracował do druku kilka większych opowiadań morskich — „Na lepsze", „Patrick Irishman", „Porucznik Woda", „Kłusownik", „Jaś", „Faktoria literacka". Na ukończeniu powieść marynistyczna pt. „CZTERECH Z ALBATROSA".

STANISŁAW TELEGA, publicysta, krytyk i prozaik. Nakładem Spół. Wydawn. „Wiedza" ukaże się na jesieni jego powieść p. t. „ÓSMA RANO". W przygotowaniu dramat o Mickiewiczu z okresu towianizmu pt. „DUCHY NAD PARYŻEM" oraz rozprawa krytyczno-literacka o Jul. Słowackim pt. „NIEZNANY SŁOWACKI".

WITOLD WIRPSZA, poeta, współpracownik „Odrodzenia", „Twórczości" i „Dziennika Literackiego", przygotował do druku tom wierszy pt. „DEFORMACJE". Wirpsza należy do tego pokolenia literackiego, które debiutowało w przedwojennej „Kuźni młodych".

Złudzenia i fakty

(Dokończenie ze str. 3)

tłumaczenie mocno niewystarczające, bo chwytające zagadnienie w pewnej fazie rozwoju, a nie u źródeł. Pisałem już kiedyś w „Odrze" (nr 19 z ub. r., artykuł pt. „Kontrabanda niemieckiej historii") o owych marksistach niemieckch z Jürgenem Kuczyńskim na czele, którzy przez jednostronne oskarżanie jukrów i przemysłowców oraz przedstawianie „poczciwych" chłopów i robotników niemieckich jako godne pożałowania ofiary, dążą faktycznie do wybielenia i odciążenia całego narodu. W tym samym artykule wspomniałem też o iynnym, uczciwym i niezaślepionym marksiście, Aleksandrze Abuschu, patrzącym krytycznie nie tylko na czasy nowsze, nie tylko na tzw. reakcję, ale też na dzieje dawniejsze, na niemiecki socjalizm, niemiecką psychikę i kulturę. Uważam, że nie powinniśmy się dawać nabierać, że lepiej się trzymać Abuscha, niż Kuczyńskiego, o ile w ogóle nie uznamy, że najlepiej zawierzyć zdrowemu rozsądkowi, posiłkującemu się nie tylko znajomością ekonomii czy socjologii lecz również historii i psychologii.

„Wieczne Niemcy"

ZOSTAWMY chwilowo na uboczu starych Germanów i Krzyżaków, militarystów i hitlerowców, wszystkich tzw. złych Niemców. I cóż się okaże? Otóż okaże się, że również ci „najlepsi" Niemcy, ci wypróbowani antyhitlerowcy i demokraci, którzy przez kilkanaście lat przebywali na emigracji i obecnie reedukują swych rodaków, nie napawają nas bynajmniej otuchą. Rzeczy to właściwie dziś już dobrze znane, a jednak warto posłuchać. „Wspólną ideą emigracji — wywodzi w swej słynnej, napisanej pod koniec wojny książce pt. „Wieczne Niemcy" lord Vansittart (podaję za dokładnym streszczeniem Suchodolskiego w „Przeglądzie Zachodnim" nr 10 z ub. r.) — staje się wygranie konfliktów między aliantami przez przedstawienie Niemiec jako ostoi kapitalizmu — dla jednych — lub jako ogniska rewolucji socjalistycznej — dla drugich. (Dziś w r. 1948 brzmi to zupełnie à propos. — Przyp. mój.) Wspólną ideą staje się granie na tej nucie, która w danym środowisku może być chętnie słuchana i może się przyczynić do zamaskowania pangermanistycznych tendencji, które są zawsze te same, chociaż raz Niemcy mają rządzić światem dlatego, że są najbardziej kulturalne, innym razem dlatego, że są najbardziej uprzemysłowione, a jeszcze innym razem dlatego, że są najbardziej demokratyczne. Emigracja jest wprawdzie antyhitlerowska, ale pozostaje pangermańską."

Co więc zrobić z Niemcami? Czy realizm polityczny wymaga polityki przeciw nim skierowanej, czy też życzliwości dla Niemców jako narodu, by im w ten sposób dopomóc do zerwania z hitleryzmem i szowinizmem? „Niestety — uważa Vansittart — błędna propaganda aliancka umacniała Niemców w dobrym mniemaniu o sobie i w poczuciu bezkarności. Zbyt często bowiem podkreślano, iż nie prowadzi się wojny z narodem niemieckim, lecz tylko z pangermanizmem, który nim zawładnął. Było to powtórzeniem zasady wygłoszonej w drugim miesiącu pierwszej wojny światowej przez Lloyd George'a, który powiedział: „Nie walczymy z narodem niemieckim, a tylko z kastą militarystów, która nad nim panuje." Jak wówczas, podobnie i teraz hasła tego rodzaju miały zachęcić „dobrych" Niemców do współdziałania w obaleniu władzy mniejszości nad nimi. Jak wówczas, podobnie i teraz zawiodły całkowicie, ponieważ były z gruntu fałszywe. Dostarczyły tylko powojennej propagandzie niemieckiej wygodnego materiału dla wykazania niewinności narodu niemieckiego, dla wzrostu dobrego samopoczucia nacjonalistycznego, dla zaniechania wszelkiej pracy reedukacyjnej."

I cóż z tego?

CZY mamy więc znów popaść w błędy przeszłości, w stosowanie polityki typu powersalskiego? Wszystkim tym, którzy zanadto ufają w cudotwórczą moc s a m y c h (podkreślam) postępowych form ustrojowych warto — za H. Jabłońskim („Opinia — Parlament — Prasa", Warszawa 1947) — przypomnieć, że „formalnie rzecz biorąc była Rzesza powersalska krajem prawdziwej demokracji politycznej, idącej w wielu wypadkach bez porównania dalej, niż Francja, Anglia, czy Stany Zjedn. w tym samym okresie." I cóż z tego? Cóż z tego, że komuniści i socjaliści niemieccy stanowili wówczas potęgę, rozporządzającą 15 mil. głosów? „Właściwie ... oddali klucze nowemu gospodarzowi (Hitlerowi) bez protestu i to jest niesłychanie charakterystyczne dla psychiki niemieckiej (D. Kłuszyńska: „Zatruta dusza narodu", „Świat i Polska" nr 30 z ub. r.) Pominąwszy już to, że w sprawach, gdzie wchodziła w grę ambicja narodowa np. w stosunku do Polski, do tzw. korytarza i Gdańska marksiści niemieccy jeszcze przed 1933 r. „mieli wspólny język z Hitlerem."

No dobrze, powie ktoś, ale przecież dziś jest zupełnie inaczej. Przecież kierownictwo SED uznaje np. nasze granice na Nysie Łużyckiej i Odrze bez zastrzeżeń. Owszem, to jest pocieszającym faktem. Natomiast o wiele mniej pocieszające jest spostrzeżenie, narzucające się każdemu, kto czyta uważnie prasę ze wschodniej strefy okupacyjnej. Otóż artykuły o Polsce są prawie z reguły bezosobiste, nie są odbiciem własnych przemyśleń autorów. Świadczą o najlepszej woli władz sowieckich, nie świadczą bynajmniej o dobrej woli samych Niemców. „To co widoczne dla oka: okupanci, partie, i prasa — to cieniutki trawnik bagnistego pola." (Osmańczyk.) Osobiście jestem głęboko przekonany — a znam Niemcy i Niemców nie od dziś — że nie pogodzą się oni nigdy szczerze z utratą „swoich" ziem wschodnich, bez względu na zapatrywania polityczne. Niechby tylko ustała okupacja radziecka, a zobaczylibyśmy coby się działo. Zwolennicy rzetelnego stosunku do Polski zeszliby do roli nieśmiałej opozycji, byli by niepewni dnia i godziny, prześladowani i obdarzani mianem zdrajców. Już widzę napisy na domach w rodzaju: „Hier wohnt der Volksverräter". I to również trzeba uwzględnić przy rozpatrywaniu problemu, jak postępować z Niemcami.

Odpowiedź na to pytanie spróbuję dać w artykule następnym. W niniejszym pragnąłem jedynie stworzyć pewne przesłanki dla dalszych przemyśleń, zarówno swoich, jak też czytelników. Pragnąłem rozwiać kilka złudzeń, co do których sądziłem podczas okupacji, że gdzie jak gdzie, ale u nas w Polsce nie odżyją chyba już nigdy.

Egon Naganowski.

Autorzy numeru

— WŁADYSŁAW DUNAROWSKI — autor powieści i opowiadań o tematyce wiejskiej. Wydał „Ludzie spod miedzy" 1939 i 1946, „Zachodni wiatr" 1947, „Leżąc krzyżem" 1947. Zamieszkały w Bydgoszczy.

— JÓZEF LEDWOLORZ — działacz narodowy wśród Polaków w Niemczech, obecnie zamieszkały na Śląsku Opolskim.

— EGON NAGANOWSKI — jeden z najwybitniejszych niemcoznawców polskich. Pracownik Zarządu Głównego PZZ w Poznaniu. Przygotował do druku szkice literackie o pisarzach niemieckich (Heine, Tomasz i Henryk Mannowie).

— EUGENIUSZ PAUKSZTA — pisarz i publicysta katolicki. Autor „Trudu ziemi nowej" 1948.

— EDMUND OSMAŃCZYK — autor tomów poezji „Wolność jest słoneczna" (Opole 1937) i „Walka jest zwycięska", dramatu radiowego „Hans Schneider" i tomów publicystyki, głównie tematy niemieckie „Sprawy Polaków" (nagroda czytelników „ODRY") i „Dokumenty pruskie". Przed wojną działacz narodowy wśród Polaków w Niemczech, obecnie korespondent „Czytelnika" w Berlinie.

— STEFAN SULIMA — publicysta, znawca problemów Warmii i Mazur, autor książki „Ziemia odnalezionych przeznaczeń". Zamieszkały w Krakowie.

Czy teatr w Gorzowie się utrzyma?

Wyparte przez silny i wysoko artystycznie stojący zespół I. Galla z Wybrzeża — zwinęły się dwa dwa mniejsze zespoły teatralne: najpierw Hałacińskiej, która była piornierką i pierwsza w Gdyni teatr założyła i, Teatr Aktora prowadzony przez Al. Gąssowskiego w Gdyni i Sopocie. Hałacińska, ambitna i twarda kobieta, powiedziała sobie, że się z Wybrzeża nie ruszy, choć nie wiem, czy ma bodaj najmniejszą szansę zrekonstruowania tam zespołu, wobec ciągle wzrastającego Galla. Ale Gąssowski wyprowadził swoją gromadkę (choć mocno uszczuploną) na dalsze zachodnie rubieże i osiedlił się w Gorzowie, stolicy Ziemi Lubuskiej. Tam znalazł dobry budynek, trochę jeszcze rekwizytów, otrzymał pewne poparcie finansowe z Min. Kultury i Sztuki i życzliwe przyjęcie wśród publiczności. Niestety to wszystko nie wystarczyło. Po sezonie, w którym wystawiono 12 premier i zdobyto uznanie — Gąssowski powtórnie zwija skrzydła — abdykuje. Nie jest w stanie przepchać się przez trudności, a przede wszystkim opanować sytuacji finansowej. Trudno także wymagać od artystów nieustannych wysiłków (na prowincji pracuje się więcej) zaparcia się siebie i swych wymogów życiowych dla służby idei. To piękno zawsze się kiedyś skończyć musi, a wysokie gaże wielkich teatrów mają przyciągający urok. 30 tysięczne miasto, stolica Ziemi Lubuskiej nie może widocznie pozwolić sobie na teatr. Co z tym robi Min. K. i Szt., które zamierza obecnie wprowadzić daleko idącą reorganizację teatrów — nie wiem. Jasnym jest bowiem, że małe środowiska nie mogą utrzymać teatrów, ale mogą i powinny je natomiast otrzymać. Zwłaszcza zaś domaga się tego nasz świeżo kształtujący się zachód.

Na czas Międzynarodowych Targów Poznańskich przywędrował ze swą gromadką Gąssowski do Poznania. Jest bowiem ambitny i chce pokazać, że w stolicy nie ustąpi poziomem innym tea-

Dyr. A. Gąssowski w roli ks. Jana w „Rozdrożu miłości" Jerzego Zawieyskiego. W roli Elżbiety p. Maria Bakka

trom. Zdaje mi się, że mu się to w Poznaniu udało. „Rozdroże miłości" w jego interpretacji — jest naprawdę bardzo udanym spektaklem i mimo szczupłości liczebnej zespołu, a więc braku wyboru artystów dla odpowiedniej obsady — mimo więc pewnych słabszych sylwetek (np. Piotra) na ogół gra wypadła bez zarzutu. Siłę skoncentrowanego wyrazu przy oszczędnym szafowaniu środkami zewnętrznymi wykazał Gąssowski w roli ks. Jana i Maria Bakka w roli Elżbiety. Kitka Sokołowski w roli wójta i Ewa Studencka w roli Elżbiety oddali silne, uparte typy chłopskie jednolite i o dużym napięciu dramatycznym. Doskonała sztuka Zawieyskiego — znana już powszechnie w Polsce — realizując się na bardzo skromnych deskach Teatrzyku Aktora i Lalki w Poznaniu — otrzymała w zespole im. Osterwy, prowadzonym przez Gąssowskiego — piękne dekoracje Romana Feniuka i obfitowała w momenty wysokiego napięcia psychicznego, podkreślone pomysłowym scenicznym rozplanowaniem.

Znałam zespół Gąssowskiego w Sopocie i uważałam go za mierny. Osiągnięcie obecnego poziomu przypisać należy wielkiej pracy i ambitnym wysiłkom.

Amelia Łączyńska

Fraszki wrocławskie

Na Chochoła

We Wrocławiu wychodzi najlepsze pismo literackie dzisiejszej Polski: „Zeszyty Wrocławskie". Grupa najmłodszych studentów polonistyki wypuściła w dniu 1 maja „konkurencyjne" pismo, odbijane na powielaczu pod nazwą „Chochoł".

Miało to być objawienie, herold,
dźwignia, szum pędu,
Postęp w interpretowaniu postępu,
Myśl, intelekt, racjonalizm, plan,
dedukacja,
Precz z preczem, nowej epoki nowa produkcja:
Stal i granit w gigantycznych złomach,
A to tylko... zwyczajna słoma.

Na nowe tramwaje

Wrocław ma teraz tramwaje żółtoniebieskie. Pytał ktoś: Dlaczego?
Odpowiedź w jednym zdaniu się mieści: Bo ludzie, czekając, wzdychają do Ojca Niebieskiego i są żółci z wściekłości.

Kazimierz Pisztek

Encyklopedia „Odry"

Alfred Jesionowski

Alfred Jesionowski urodził się 27 stycznia 1902 r. w Mogilnie (Wielkopolska). Pochodził z rodziny nauczycielskiej. Gimnazjum ukończył w Inowrocławiu, studia uniwersyteckie w Poznaniu. Już jako akademik żywo interesuje się wszelkimi przejawami i zagadnieniami kultury polskiej.

W 1925 r. obejmuje obowiązki nauczyciela szkół średnich w Lublińcu. Po kilkoletnim tam pobycie przenosi się do znajdującego się bliżej Katowic Mikołowa, a z czasem do Pszczyny, by wreszcie osiąść w Mysłowicach. Niezwykle ruchliwy ten pedagog odgrywał w życiu kulturalnym Śląska, a także i Wielkopolski rolę sumiennego, skrzętnego i utalentowanego pracownika kulturalnego. Począwszy od 1930 r. rzucał pełne zapału hasła odrodzenia kultury ośrodków regionalnych i był — jak go określił Dr. Stanisław Helsztyński — „RZECZNIKIEM WIELKIEJ IDEI WPROWADZENIA KRESÓW ZACHODNICH NA MONSALVAT POETYCKI". Liczne przyczynki pedagogiczne (Jesionowski był romanistą i germanistą zarazem) oraz wnikliwe recenzje z literatury pedagogicznej — oto zaczątki późniejszej działalności literackiej. Wielki fanatyk pracy i szczery przyjaciel młodzieży śląskiej, propagował w korespondencjach międzyszkolnych zagranicznych kulturę polską pośród młodzieży francuskiej. („Cher camarade"... — Uwagi bedotyczne o prowadzeniu korespondencji z młodzieżą zagraniczną — Września 1933).

Posiadał wszechstronne wykształcenie, szerokie zainteresowania intelektualne, a nade wszystko literackie. Wiedza krytyka literackiego i umiejętności filologa dopełniały się w nim harmonijnie. W licznych artykułach drukowanych w czasopismach stołecznych, opisywał odrodzenie literackie dzielnic zachodnich, rozwiewając legendę o analfabetyzmie tych ziem. W latach 1929-1939 napisał zdumiewającą ilość artykułów, (bibliografia Jesionowskiego obejmuje 386 pozycji) szkiców i przyczynków, z których niektóre zdobyły sobie trwałą wartość.

Pracowity ten pisarz ogłosił drukiem m. in. następujące prace i szkice krytyczne: PLEBISCYT I POWSTANIA ŚLĄSKIE W POLSKIEJ LITERATURZE PIĘKNEJ (Wyd. Inst. Śl. — Katowice 1938), PROBLEM POLSKI NA ŚLĄSKU W ŚWIETLE BELETRYSTYKI NIEMIECKIEJ (Wyd. Inst. Śl. — Katowice 1939), MOTYWY RELIGIJNE WE WSPÓŁCZESNEJ POWIEŚCI POLSKIEJ (In. Akcji Kat. — Poznań 1939), WSPÓŁCZESNA TWÓRCZOŚĆ LITERACKA ŚLĄSKA (odbitka z „Zarania Śląskiego" r. 15 — 1939, zeszyt 2) przetłumaczył Lorenza F. PIONIERZY TECHNIKI, Lwów — Warszawa (1938 Książnica — Atlas, str. 355), OBLICZE REGIONALIZMU WIELKOPOLSKIEGO (ABC — Warszawa z 18. 6. 1933), JAN KASPROWICZ NA ŚLĄSKU (Wici Wielkopolskie r. 3. 1933), O DZIAŁALNOŚCI KULTURALNEJ I LITERACKIEJ STEFANA PAPEE'GO (Wici Wielkopolskie), TWÓRCZOŚĆ REGIONALNA STANISŁAWA HELSZTYŃSKIEGO (Wici Wielkopolskie 1932 nr 11), O JANIE SZTAUDYNGERZE (Wici Wielkopolskie 1934, nr. 2, ŚLADAMI PAWŁA STALMACHA — TWÓRCZOŚĆ KS. EMANUELA GRIMA (Zaranie Śląskie 1934, zeszyt 3), ŚWIAT ŚLĄSKI W TWÓRCZOŚCI KOSSAK - SZCZUCKIEJ (Zaranie Śląskie 1935, zeszyt 1). POEZJE KS. ALEKSANDRA SKOWROŃSKIEGO (kolumna kultury „Gazety Siemianowickiej" 1933).

Jesionowski współpracował z „Wiciami Wielkopolskimi" (Września), „Zaraniem Śląskim", „Prosto z mostu" — Warszawa, „Kulturą"— Poznań, „Neofilologiem"— Warszawa i z wielu dziennikami. Ponadto był stałym recenzentem „Roju", oraz współpracownikiem Instytutu Śląskiego i Instytutu Bałtyckiego. Utrzymywał kontakty nieraz serdeczne z wszystkimi prawie wybitniejszymi literatami w Polsce a także i we Francji. Obok pracy literackiej dużo czasu poświęcał również pracy publicystycznej i popularyzatorskiej. Często miewał odczyty publiczne w charakterze prelegenta Pol. Zw. Zachodn., a przede wszystkim — radiowe. O wszelkich wydarzeniach kulturalnych Śląska informował w rozlicznych artykułach słynny dział „Kultury i Sztuki „Kur. Pozn.", którego redaktorem był Witold Noskowski, zamordowany w 1939 r. przez oprawców hitlerowskich w Poznaniu.

Pasjonujące Jesionowskiego zagadnienia — to ZAGADNIENIA POLSKO-NIEMIECKIE. Przetrawiwszy całą nieomal literaturę niemiecką o Polsce i Polakach z ostatnich dwudziestu lat — okazał się wybornym znawcą stosunków polsko-niemieckich. W przeddzień aresztowania pisał jeszcze Jesionowski największą swą pracę krytyczno-historyczną o Niemcach p. t. „Zawsze ci sami"... Olbrzymi, wprost rewelacyjny materiał do tej pracy latami zbierany przez Jesionowskiego, przepadł w Krakowie. Nadto miał gotowy rękopis większej pracy o wojnie wrześniowej 1939 w świetle literatury niemieckiej.

Jesionowski ukochał Śląsk i służył mu wiernie do końca swojego żywota. Przedstawiał pisarzy ludowych, odkrywał talenty samorodne, apelował dla nich o pomoc moralną i materialną, brał intensywny udział w życiu kulturalnym Śląska (imprezy lit.-artystyczne, „Żywe Dzienniki" i wieczory literackie na prowincji) i wraz z innymi pracownikami przyczyniał się do podniesienia znaczenia i roli Śląska w życiu duchowym Polski. Prowadził nawet przez pewien czas redakcję „Młodzieży Powstańczej" i artykułami zasilał także „Powstańca". Szeroka działalność, niezwykła ruchliwość i pracowitość, zyskały mu miano „Małego Instytutu Śląskiego".

Adam Dytkiewicz.

·CZYTELNIK·

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

OSTATNIE NOWOŚCI

ANTONINA ŻABIŃSKA

RYSICE

Przemiłe, żywe i z humorem napisane opowiadania o dwu łodych rysiątkach, wychowanych wśród ludzi, w domu dyrektora warszawskiego ZOO. Łącząc prawdę przyrodniczą z atmosferą wyjątkowej przyjaźni dla zwierząt, książeczka stanowi najodpowiedniejszą lekturę dla młodych czytelników.

str. 78
zł 200

ADOLF RUDNICKI

ŻOŁNIERZE

Pow.eść

Wspomnienia rekruckie ilustrujące bolesny często proces przekształcania się cywila w żołnierza.
Przedwojenne wydanie książki przyjęte zostało niechętnie przez oficjalną opinię wojskową.

str. 166
zł 280

IRENA KRZYWICKA

BUNT KAMILA MARTENA

Powieść

Dalszy ciąg „Rodziny Martenów" przedstawia dzieje grupy postępowej młodzieży z lat 80-tych ubiegłego stulecia. Młodzi buntownicy, walcząc z mieszczańskim środowiskiem i z uciskiem caratu, widzą drogę do wyzwolenia ojczyzny nie w bezsnadziejnej walce zbrojnej, lecz w szeroko pojętej reformie stosunków społecznych.

str. 89
zł 300

ZOFIA KOSSAK

ZŁOTA WOLNOŚĆ

Powieść historyczna
Wyd. III

Wątek romansowy powieści to tragiczna miłość dwu braci do jednej kobiety.
Książkę charakteryzuje doskonała znajomość historycznych, obyczajowych i religijnych stosunków Polski XVII w. Sensacyjne motywy ożywiają akcję rozwijającą się na poważnym tle ideologicznym

2 tomy
zł 750

Krótkie spięcia

O pieśni gminnej

Miło jest widzieć dziarskie oddziały formacji wojskowych i innych, maszerujące ulicami naszych miast. Sprężysty krok, piękne tzw. równanie w szeregach, coraz lepsza prezencja z uwagi na stale się poprawiający gatunek i rodzaj sort mundurowych — wszystko to cieszy oko i raduje serce.

Miło więc jest widzieć owe oddziały, ale nie miło jest je — słyszeć. To znaczy nie miło jest je słyszeć wtedy, jak śpiewają.

Wbrew bowiem temu co się powszechnie mówi, nie jesteśmy wcale narodem muzykalnym. Nie umiemy śpiewać.

To znaczy, owszem każdy z nas potrafi wziąć udział w jakimś chóralnym unisono, ale żeby był to śpiew uczciwy, harmonijny, na głosy — to szkoda gadać. Na ogół wszyscy tylko ryczymy. Jednym potwornym głosem.

Czy to chodzi o zwyczajne „Sto lat", czy o nieśmiertelnego a straszliwego „Górala", czy o „Choć burzę", która huczy wkoło nas — zawsze z tego wychodzi jakiś przedziwny jednogłos, będący właściwie chóralnym wrzaskiem. I też jak maszerujemy gdzieś czwórkami, umundurowani lub nie, czy bierzemy udział w zbiorowych manifestacjach, czy urządzamy majówki lub pikniki, albo jesteśmy gośćmi na imieninach, weselach albo i chrzcinach — i gdy nadejdzie moment zaśpiewania (niestety, zawsze taki moment musi nadejść), rozlega się nie śpiew prawdziwy, lecz tylko taki wrzaskliwy jednogłos.

Ludzie śpiewający na głosy należą u nas do bardzo rzadkich wyjątków. Grupują się tacy przeważnie w chórach i organizacjach śpiewaczych — ale ilu ich jest...? Na miliony nieśpiewających tacy liczą się najwyżej na setki i powinni nosić jakieś specjalne oznaki, aby ich można było odróżniać od reszty no i odpowiednio wyróżniać.

Inne narody są pod tym względem znacznie szczęśliwsze od nas. Tacy Rosjanie, lub Czesi zawsze umieją śpiewać. Żołnierze nie żołnierze, adwokaci czy pielęgniarki, kupcy czy agronomi, metalowcy czy dziennikarze, maszyniści kolejowi czy footbaliści — wszyscy, jak przyjdzie co do czego, potrafią zarówno poważny hymn jak i lekką piosenkę odśpiewać na głosy i harmonijnie. A my — pożal się Boże...

Skąd jednak się to bierze, że właśnie u nas tak chętnie i tak ex abrupto wszyscy biorą się do śpiewu? I to właśnie ci, co nie umieją śpiewać...? Przecież, jak tylko ktoś gdzieś w takim czy innym gronie, nie daj Boże, jak to się mówi, coś zanuci — zaraz reszta podchwytuje i z miejsca rozlega się ten nasz polski, kochany i rozpaczliwy jednogłos ryczący. Dlaczego...?

Prawdopodobnie dlatego, że zwykle u nas ludzie lubią się popisywać umiejętnościami, których nie posiadają. A więc ci, co nie znają się na polityce, zawsze o niej mówią, ci co ani w życiu nie siedzieli na rowerze, godzinami potrafią dyskutować o wyścigach kolarskich, ci co nie chodzą do teatru gadają o jego brakach, ci co na oczy nie widzieli ostryg twierdzą, że to świństwo — i tak dalej i dalej.

Z tego też względu i ci, co są pozbawieni słuchu muzycznego, od razu biorą się do śpiewu. Tak jak w tym starym dowcipie: „— Czy pan gra na skrzypcach? — Nie wiem, nie próbowałem jeszcze..." Takie narodowe jakieś hochsztaplerstwo.

Profesor Rutkowski wprawdzie w radiu się wysila już zdaje się dobrych kilkanaście lat (nie licząc naturalnie wojny) w audycjach p. t. „Cała Polska śpiewa", aby społeczeństwo nauczyć jakich takich prymitywów harmonii, ale te wysiłki są całkowicie daremne.

Prędzej, zdaje się, by pomogło, gdyby tak wydano zakaz śpiewania dla ludzi nie umiejących śpiewać. Wówczas na zasadzie praw polskiej przekory drodzy Rodacy obojga płci zaczęliby się na gwałt śpiewania uczyć.

Ponieważ jednak taki zakaz jeszcze nie wyszedł, więc na razie można by prywatnie propagować powszechne nieśpiewanie. A jakby kto pytał dlaczego, to wtedy trzeba mu odpowiedzieć:

— Dlatego proszę pana, że pan jeszcze nie umie śpiewać. Rozumie pan — jeszcze nie...!

NIEJAKI X.

— Już znowu 10 kg waży pan mniej, panie inżynierze. No tak, skoro zatrudniony pan jest w przemyśle pokojowym...
(„Ulenspiegel")

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja; Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. Młyńska 9. Tel. 31059.

R 18121